MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 9 WARSZAWA, 28 LUTEGO 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.

CHRZEŚCIJAŃSTWO I ANTYSEMITYZM

CO DO problemu, zaznaczonego w tytule, panują u nas duże nieporozumienia. Dla wielu jest to temat drażliwy i wstydliwy — tak, iż wolą go nie poruszać. Wielu np. księży wygłasza na temat antysemityzmu przemówienia i referaty w organizacjach społecznych, boi się natomiast poruszyć ten temat na ambonie — nie dlatego, żeby on na ambonę się nie nadawał, bo każde zagadnienie życiowe może i powinno tam być naświetlane ze stanowiska katolickiego, lecz dlatego, iż lęka się, czy naprawdę akcja antyżydowska godzi się całkowicie z duchem Chrystusowym. Co więcej, znajdują się pięknoduchy, którzy otwarcie głoszą (np. p. Zofia Kossak w „Kulturze"), iż antysemityzm — nie tylko w metodach swoich, ale w zasadzie samej — sprzeciwia się chrześcijaństwu.

Ten stan fałszywego nastawienia się do omawianej kwestii wypływa: a) z niezrozumienia istoty chrześcijaństwa, b) z niezrozumienia pozykazania miłości bliźniego, c) z fałszywego wyobrażenia sobie postaci Chrystusa.

I

Według przekonania wielu — ideał chrześcijański polega na rezygnacji i bierności. Zrezygnować z dóbr ziemskich i biernie przyjmować wydarzenia losu — oto według nich wyzwolenie się z doczesności i godzenie się z wolą Bożą, a zatem ideał chrześcijaństwa. Tymczasem tak nie jest. Chrześcijaństwo, to nie negacja i kwietyzm, ale afirmacja i czyn. Chrześcijaństwo to przetwarzanie rzeczywistości na Królestwo Boże na ziemi, by za tę walkę i trud otrzymać kiedyś Królestwo Boże w wieczności.

Ta praca nad „odnowieniem oblicza ziemi" jest nie tylko modlitwą, nie tylko wyrzeczeniem się, nie tylko miłosierdziem, ale i „bojowaniem." „Nie mniemajcie, żebym przyszedł puszczać pokój na ziemię: nie przyszedłem puszczać pokoju, ale miecz" (Mat. 10.34). A zatem walka ze wszystkiem, co stoi na przeszkodzie realizacji celów Bożych.

Na przeszkodzie stanął i ten naród bogobójczy, który z narodu wybranego stał się dziś narzędziem szatana. Struktura duchowa żydostwa, jego zamierzenia, metoda realizacji jego planów— sprzeciwia się całkowicie temu, by społeczeństwa chrześcijańskie mogły się przetwarzać w komórki Królestwa Bożego. Nawet gdyby żydostwo nie miało świadomej i celowej polityki rozkładania duchowego społeczeństw chrześcijańskich, to samym już swoim bytem, samym sposobem życia, samym nasiąknięciem ideą talmudyczną — oddziaływuje na społeczeństwa obce tak, iż muszą one tracić duchowo, stawać się rozstrojem, by być podatną pożywką dla żydowskiego rozrostu. Tego wymaga biologiczna zasada pasożytnictwa. A kto wie, czy za tym nie stoi cień i tym nie kieruje ręka „przeciwnika Bożego" — szatana. Dla człowieka wierzącego myśl ta nie może być nieprzystępną. Wybranego narzędzia Bożego szatan — po zbrodni bogobójstwa— używa jako narzędzia swej polityki.

Jedyna droga do przeciwdziałania temu, to albo rozproszkowanie Izraela po świecie w takich minimalnych dozach, by nigdzie nie mógł być on siłą i by te drobne cząstki mogły ulec wchłonięciu przez otoczenie bez większej szkody dla organizmu wchłaniającego, albo wydzielenie żydostwa ze społeczeństw chrześcijańskich i osadzenie go na uboczu, by tam albo zmarniało samo w sobie, albo przetworzyło się w trudzie i w walce duchowej na społeczeństwo nadające się do współżycia z innymi.

Tu zastosować musi się rozkaz Chrystusowy: „Jeśli prawe oko twoje gorszy cię, wyrwij je... jeśli cię prawa ręka twoja gorszy, odetnij ją i odrzuć od siebie" (Mat. 5. 29—30). A nikt nie zaprzeczy, że żydostwo dostarcza najwięcej zgorszenia, pokusy i okazji do złego.

Plan zatem realizacji Królestwa Bożego na

ziemi domaga się wyeliminowania wpływów żydowskich ze społeczeństw chrześcijańskich.

II

Idea miłości bliźniego, głoszona przez Chrystusa, byłaby ideą platoniczną, niewykonalną, gdyby nie uznawała stopniowania, umożliwiającego przystosowanie jej do życia. Należy wszystkich kochać, nikomu źle nie życzyć, ni źle nie czynić, ale w świadczeniu dobrodziejstw musi się zachować sprawiedliwość i roztropność, a więc uznać pewną hierarchię obiektów tej miłości (rodzina, przyjaciele — naród, współwyznawcy — obcy, wrogowie). Tam, gdzie zachodzi kolizja interesów dwu grup, należy przenieść interesy grupy bliższej mi krwią lub duchem nad interesy grupy dalszej. Nie może tu być nawet mowy o heroicznej rezygnacji, bo rezygnować mi wolno tylko z mego własnego dobra, a nie z dobra należnego drugiemu. Więc zasada pilnowania przede wszystkim interesów środowiska bliższego mi biologicznie i duchowo nie sprzeciwia się ogólnej zasadzie miłości bliźniego.

Przykład dał nam zresztą sam Chrystus Pan. Do niewiasty chananejskiej, domagajacej się cudu dla siebie, powiedział: „Nie dobra jest brać chleb synowski a miotać psom" (Mat. 15. 26), a do apostołów wysyłanych na pierwszą misję rzekł: „Na drogę poganów nie zachodźcie i do miast samarytańskich nie wchodźcie, ale raczej idźcie do owiec, które poginęły z domu izraelskiego" (Mat. 10. 5 — 6).

Należy zatem najpierw spełnić obowiązki wobec swoich, by można potem świadczyć dobrodziejstwa i obcym.

A jak wyjaśnić słowa: „Miłujcie nieprzyjacioły wasze; dobrze czyńcie tym, którzy was nienawidzą..." (Mat. 5. 44)? Bardzo prosto: co innego jest krzywdzić, a co innego bronić się przed krzywdą. O nieprzyjaciołach zaś ducha powiedział Chrystus: „Wyrwij i odrzuć od siebie" (Mat. 5. 30).

III

Wielu wyobraża sobie Jezusa tak, jak malują go na dewocyjnych obrazkach francuskich — słodko uśmiechniętego, przechadzającego się wśród lilii, co to „trzciny zgniecionej nie złamie, a lnu kurzącego się nie zgasi" (Mat. 12. 20).

Można i tak go sobie wyobrazić, ale to będzie obraz jednostronny. Jezus był miłością i słodyczą dla wszystkiego, co słabe, biedne, skrzywdzone, a nawet grzeszne z ułomności lub niewiedzy, ale umiał też faryzeuszy nazwać obłudnikami, rodzajem jaszczurczym, umiał odezwać się z patosem: „Biada tobie Korozaim, biada tobie Betsaido", a w razie potrzeby wziął i bicz do ręki, by przepędzić nim kupczących w świątyni. Miał łaskawość i zrozumienie dla nędzy i słabości — nie miał ich dla krzywdzicieli i gorszycieli.

*

Rezultat tych rozważań? Wolno nam, a nawet trzeba, rozwiązywać kwestię żydowską zgodnie z naszym interesem narodowym, a więc:

w dziedzinie gospodarczej — popierać tylko swoich („Nie dobra jest brać chleb synowski a miotać psom");

w dziedzinie kulturalnej — bojkotować prasę, literaturę, sztukę żydowską, dążyć do szkoły wyznaniowej („Strzeżcie się kwasu faryzeuszów i saduceuszów" (Mat. 15. 6);

w dziedzinie towarzyskiej — zerwać wszelkie więzy z żydostwem, bo otoczenie to jest nam pokusą, zgorszeniem i okazją do złego („Jeśli cię ręka twa gorszy...");

w dziedzinie polityczniej — odebrać im prawa obywatelskie, pozostawiając tylko prawa człowieka („Strzeżcie się pilnie fałszywych proroków" Mat. 7. 15).

To program bliższy. Programem dalszym jest spowodowanie ich do emigracji — dla naszego i ich dobra.

Nie będziemy zaś do tego dążyli drogą ekscesów i pogromów, drogą gwałtu i nienawiści, lecz drogą prawa i drogą miłości własnego społeczeństwa. Lecz walka nasza będzie nieustępliwa, bo pamiętamy o prawdziwie chrześcijańskiej zasadzie: nie daj się zwyciężyć złu, lecz zwyciężaj zło.

Trzciniec, (k. Bydgoszczy)

ks. FRANCISZEK BŁOTNICKI

ZASADA POWSZECHNOŚCI NAUCZANIA

W ŚWIETLE STATYSTYKI

OTRZYMALIŚMY obecnie z kilku naraz stron sporo materiału, oświetlającego sprawę realizacji powszechnego nauczania w Polsce.

Alarmy, pochodzące i ze sfer rządowych, oficjalnych, i ze społeczeństwa, pobudziły czujność społeczeństwa w tym kierunku. Powiększyły ją jeszcze komunikaty wojskowe, notujące olbrzymi odsetek poborowych, nieumiejących czytać ani pisać. Jest w tych alarmach niewątpliwie dość dużo plotek, fantazji i przesady. Należy je oddzielić i usunąć. Obraz rzeczywisty jest dość ponury i nie należy go jeszcze jaskrawiej malować — niepotrzebnie. To, co jest, wystarczy aby każdego pobudzić do myślenia i wysiłków dla zmiany na lepsze.

Nie łatwo, mimo mnóstwa statystyk, nawet ze stemplem ministerialnym, dojść do cyfr ścisłych i miarodajnych. Każdy, biorący się do zestawienia obliczeń, stosuje swoją metodę. Doprowadza to do jaskrawych nieporozumień i odmiennych obliczeń! Oto dwa takie typowe przykłady.

Ministerstwo W. R. i O. P., obliczając ilość dzieci nieuczęszczających do szkoły, zatrzymuje się na trzynastolatkach. Dr. Falski, szef referatu statystycznego tegoż Ministerstwa, w ostatniej swej publikacji p. t. „Kwestie podstawowe w organizacji szkolnictwa powszechnego. Cz. I", zaliczył do nieuczęszczających do szkoły, mimo obowiązku, i czternastolatków. Jest ich zaś poza

szkołą aż 515.293! czyli 82% tego rocznika! Dr. Falski z wielką słusznością dowodzi, iż do szkoły powszechnej przychodzą 1 września te dzieci, które w odpowiednim roku kalendarzowym kończą 7 lat, zatem np. 1 września 1937 r. dzieci urodzone w całym r. 1930. Wiele dzieci zaczyna naukę dopiero, gdy ma lat 8. Wiele dla różnych przyczyn nie kończy nauki w oznaczonym czasie. Stąd dr. Falski wyciąga wniosek, iż do rocznika dzieci, obowiązanego do nauki w szkole powszechnej, należy zaliczyć również czternastolatków. Wskutek tej różnicy punktów wyjścia, zupełnie inne cyfry dzieci obowiązanych do nauki przedkłada dr. Falski, a inne Ministerstwa W. R. i O. P.

Drugi błąd statystyk tkwi w zaliczaniu wszystkich dzieci, zapisanych na początku roku szkolnego do liczby uczęszczających do szkoły. Praktyka zwłaszcza szkół wiejskich dowodzi, że bardzo znaczny procent dzieci nie jest w końcu roku klasyfikowany czyli że dzieci te zupełnie z nauki nie korzystały. Np. w r. szk. 1933/34 takich dzieci nieklasyfikowanych naliczono aż 363.356. Słuszniej zatem dzieci te zaliczone być powinny do grupy dzieci pozaszkolnych.

W tych warunkach należy wiele nawet oficjalnych zestawień traktować ostrożnie.

Mając na oku owe zastrzeżenia, przyglądnijmy się i my ostatnim publikacjom urzędowym w zakresie szkolnictwa powszechnego. Statystyka szkół i uczniów jest doprowadzona do dni ostatnich, bo do r. szkoln. 1936/37. Statystyka jest zatem bardzo aktualna.

Szkół powszechnych miała Polska: w r. 1930/31 — 26.645, w r. 1936/37 — 27.990. Z tych szkół w r. 1930/31 było 1.384 w rękach prywatnych i 25.261 w rękach państwa. W r. 1936/37 było szkół państwowych 26.846, prywatnych 1.387. W r. 1930/31 było we wszystkich szkołach 3.958.986 uczniów zapisanych, w r. 1936/37 jest ich *4.681.345.*

Dzieci w wieku lat 7 do 13 miała Polska w r. 1934/35 — 5.027.413, w r. 1935/36 — 5.100.704, w r. 1936/37 — *5.106.877.* Różnica między zapisanymi a należącymi do szkoły (bez czternastolatków) wynosi około 425.000.

Ciekawą jest statystyka dzieci według lat:

Dzieci, mające lat	7	8	9	10	11	12	13
Dzieci w wieku obowiązku szkoln.	769.851	771.659	825.148	773.320	772.320	622.709	492.496
Uczniowie	677.089	733.953	719.446	715.424	733.282	562.647	426,097
Nie zapisano do szkoły	92.762	37.706	105.702	57.896	39.038	60.062	66.309
Zapisano do szkoły	89,5%	95,5%	94,3%	93,5%	89,5%	85,4%	74,1%

belskim, lwowskim i tarnopolskim przekracza 90%. Powyżej 85% młodzieży w szkołach mają województwa warszawskie, białostockie i stanisławowskie. Wileńskie ma 83,4%, nowogrodzkie 80%, poleskie 78,5%, wołyńskie 66,9%. Gdybyśmy od tych cyfr odjęli nieklasyfikowanych i czternastolatków, wówczas procent korzystających ze szkoły obniżyłby się w województwach wschodnich niemal do połowy dzieci w wieku szkolnym.

Spis ludności z r. 1931, ogłaszony dotąd tylko częściowo, potwierdza powyższe obliczenia. Notuje on jako umiejących czytać i pisać, a liczących ponad 10 lat życia: w województwach: nowogródzkim 57,9%, wołyńskim 50,4%, wileńskim 56,1%, białostockim 66,6%, lubelskim 66,3%, śląskim 98%. Miasta wykazują oczywiście stan lepszy: Wilno 83%, Warszawa 86,9%, Lwów 90,9%, Łódź 80,3%. Cyfry powyższe są liczone raczej optymistycznie — nie jeden b. uczeń szkoły powszechnej zapomniał i pisać i czytać, ale przy spisie podał się za umiejącego czytać i pisać, bo „kiedyś do szkoły chodził".

Nie trzeba liczby półtora miliona dzieci, nie uczęszczających do szkoły w r. 1936/37, zaliczać w całości do rzędu analfabetów. Zwłaszcza najstarszy rocznik, owe czternastolatki, opuszczeni w urzędowych wykazach, a zapełniający klasy szkolne zaledwie w 18% swego naturalnego kompletu, w większości przez lat parę do szkoły uczęszczali, a tylko przedwcześnie uczyć się przestali. Również i nieklasyfikowanych tylko częściowo uznać trzeba za straconych. Większość z nich napewno w następnym roku szkolnym weszła lub wejdzie w normalne tryby regulaminu szkolnego. Po procentach zaś uczęszczających do szkoły 8- i 9-latków wnioskować nam wolno, iż duży odsetek 7-latków, spóźnieni o rok lub dwa, przecież w szkole się zjawiają. Te nienormalne przypływy i odpływy dzieci utrudniają w wysokim stopniu naukę i ogólne jej wyniki. Odnosi się to głównie do wsi, bo w mieście falowanie frekwencji jest znacznie łagodniejsze.

Stwierdzenie powyższych faktów jest ważne dla tych, którzy kiedyś zabiorą się do reformy ustroju szkolnictwa powszechnego. Niechajże

Ogółem nie zapisano do szkoły z tych roczników 558.533 dzieci, czyli 10,6%!

Do tej cyfry niezapisanych doliczymy około 400.000 dzieci zapisanych, ale nie uczęszczających do szkoły i wskutek tego nieklasyfikowanych i i obliczonych przez dr. Falskiego około 500.000 czternastolatków, pominiętych przez statystykę Ministerstwa. Tak licząc, dojdziemy do okrągłej cyfry około półtora miliona dzieci, które w myśl obowiązujących ustaw i statutów powinny do szkoły powszechnej w r. 1936/37 uczęszczać, a nie uczęszczają.

Bardziej szczegółowe obliczenia podają, iż w stolicy, w Warszawie, wszystkie dzieci w wieku szkolnym są do szkół zapisane. W województwach zachodnich liczba dzieci zapisanych przekracza 99%, w województwie krakowskim wynosi 97,7%, w województwach łódzkim, kieleckim, lu-

wezmą pod uwagę jako usprawiedliwienie owej masowej dezercji młodzieży w wieku 13 i 14-tu lat i nieklasyfikowanych — fakt istnienia dnia 1 maja 1936 r. szkół jednoklasowych 12,778 i dwu klasowych 5,694. Trudno się dziwić rodzicom, że nie zawsze chcą posyłać dzieci do tak zorganizowanych szkół aż przez lat 7, a młodzieży starszej, że z takich szkół — masowo ucieka.

Wykazy, przytoczone powyżej, dowodzą, że nie zupełnie uzasadniony jest pogląd, iż tylko brak sił nauczycielskich i brak izb szkolnych jest przyczyną, iż tak wielki odsetek dzieci nie korzysta ze szkół powszechnych. Przyczyn tych jest znacznie więcej. Może zła organizacja, zły ustrój szkoły powszechnej wyrządza nam szkód więcej, niż mała ilość szkół i sal szkolnych. Słusznie dr. Falski stwierdza, iż sieć szkolna tylko w niektórych okręgach szkolnych na wschodzie przepuszcza

przez oczka około 6% młodzieży. Całą dalszą nadwyżkę przypisać należy przyczynom innym. Reformy szybkiej i radykalnej wymaga program nauczania, zwłaszcza w dwu, może nawet w trzech, najwyższych typach organizacyjnych szkoły — szkołach jedno, dwu i trzy, klasowych.

Reformatorzy szkół typu związku Nauczycielstwa Polskiego stawiają sprawę po doktrynersku: należy znieść szkoły niżej zorganizowane, należy możliwie wszędzie zorganizować szkołę 6 — względnie 7 klasową, zrobić to zaś można przez przydzielenie dzieci z obwodu szkolnego, obejmującego więcej miejscowości, do jednej szkoły. Zapominają oni jednak, że miejscowości (osad, gromad) jest w Polsce około 134.000, że na jedną miejscowość wypada przeciętnie 26 dzieci w wieku szkolnym, a w województwach północnowschodnich około 20 dzieci. Przestrzeń, dzieląca dziecko wiejskie od szkoły wysoko zorganizowanej, jest wrogiem tych pomysłów większym i bardziej nieubłaganym, niż Skarb Państwa. Powtarzam: na 100 km² wieś ma przeciętnie 404 dzieci w wieku szkolnym. W okręgu wileńskim na 100 km² jest na wieś 517 dzieci, w okręgu brzeskim 442. Gdy zaś na utworzenie szkoły 6 i 7 klasowej trzeba około 250-300 dzieci, na 100 km² mogłoby być 2-3 szkół najwyższego typu. Oczywisty — nonsens. Nie usunie błędnego koła nawet pomysł powiązania szkół 7 klasowych dla najmniejszych dzieci ze szkołami wyżej zorganizowanemi dla dzieci nieco starszych, które łatwiej pokonają przestrzeń, dzielącą ich dom rodzinny od szkoły.

Nie mniej, nie należy lekceważyć braku sił nauczycielskich i sal szkolnych.

Nauczycielstwo jest przeciążone nie ilością godzin pracy w szkole, lecz ilością dzieci w klasie. Nauczyciel nie jest w możności poświęcić każdemu z dzieci tyle czasu, ile potrzeba, aby dziecko robiło należyte postępy w nauce, bo ich ma zadużo.

Ilość dzieci w jednej klasie, które nauczyciel z pożytkiem dla dzieci może naraz uczyć, jest ograniczona. Jest to dogmat w powszechnem publicznem nauczaniu. Ile dzieci? Odpowiadają na to różnie różne państwa.

„*The Yearbook of Education, London*, 1933" (cytuję za dr. Falskim) podaje przeciętną ilość na 1 nauczyciela:

Łotwa	22	Norwegia	36
Estonia	23	Niemcy	36,1
Szwecja	24,4	Portugalia	37,6
Belgia	26	Litwa	38,9
Francja	27,7	Czechosłowacja	41,9
Szwajcaria	28,5	Rosja	41,9
Turcja	30,8	Włochy	44
Finlandia	31,3	Rumunia	45
Danja	32	Jugosławia	46
Anglia	32,9	Węgry	49
Holandia	32,9	Polska	50,3
Bułgaria	34,3	Hiszpania	52
Austria	34,5	Grecja	52,2
Albania	34,8		

Cyfry powyższe sięgają roku 1931. Polska figuruje w nim za r. 1930. W r. 1935/36 Polska miała już 63 dzieci na jednego nauczyciela. Osiągnęła rekord światowy! A cóżby to był za rekord, gdyby owe półtora miliona dzieci, nieuczęszczające do szkoły, w szkole się zjawiły? Wtedy na 1 nauczyciela przeciętnie wypadłoby ponad 80dzieci!

Są i dziś wypadki, że jeden nauczyciel (-ka) uczy 80, 100, a nawet ponad 100 dzieci (znam taki wypadek np. w Krakowie). Czy, przy najlepszym nawet przygotowaniu, talencie, zapale, zdrowiu, dyscyplinie, może nauczyciel uzyskać dobry rezultat nauki dla wszystkich dzieci?

Nie dziwmy się, że szkoła średnia żali się na braki młodzieży, przychodzącej ze szkół powszechnych, a rodzice mają sto pretensji do nauczycielstwa. To konsekwencja ustroju szkół i przeciążenia klas.

Dopóty, dopóki nie zmienimy ustroju szkolnictwa powszechnego, zwłaszcza na wsi, dopóki nie zmniejszymy ilości dzieci w klasach, i kompletach, nie podniesiemy poziomu oświaty powszechnej w Polsce, nie usuniemy narzekań na szkoły.

Pieniądze, które na rozbudowę szkolnictwa powszechnego dać musimy, powinny być użyte bardziej celowo i ekonomiczniej, niż dotąd.

Gdy konieczne reformy w szkolnictwie powszechnem przeprowadzimy, okaże się, że nie będzie potrzeba jakichś 150 czy nawet 200 milionów zł. rocznie więcej, niż obecnie, że wystarczy 100 mil., może nawet mniej, a — wyniki ogólne nauczania będą znacznie lepsze i powszechniejsze, niż są dzisiaj.

STANISŁAW RYMAR

DLACZEGO WYGNANO ŻYDÓW Z FRANCJI?

1

WYGNANIE żydów z Francji należy do tych arcyważnych zjawisk dziejowych, któremi nad wyraz niechętnie zajmują się uczeni historycy, tak rozmiłowani skąd inąd w grzebaniu się we wszelkiego rodzaju „przyczynkarstwie". W obfitej literaturze historycznej, poświęconej poszczególnym fragmentom dziejów francuskiego średniowiecza, zajmują zagadnienia żydowskie dość pokaźne ilościowo miejsce. Poza jednak jedyną pracą rabina Izydora Loeba,[1]) poświęconą niemal wyłącznie ustalaniu chronologji zjawisk poprzedzających ostateczne „wieczyste wygnanie żydów z Królestwa Kwiatu Lilji", nie udało się nam natrafić na jakikolwiek ślad wskazujący, by ktoś z uczonych dał drukiem dowód głębszego i dokładniejszego interesowania się zagadnieniem zawartem w tytule niniejszej pracy. Oczywiście, że zajmowali się nim z urzędu niejako historycy dziejów Francji i dziejów żydostwa, ograniczając się do podania możliwie krótkich relacyj, a przyczyny wygnania kładąc na karb „barbarii" średniowiecznej. Stanowisko takie wypływało z ogólnego do niedawna punktu widzenia „wiedzy oficjalnej", dla której dzieje Żydów w średniowieczu sprowadzały się niemal wyłącznie do wylicza-

[1]) „*Les expulsions des Juifs de France au XIV siecle*„ w „*Jubelschrift zum siebzigsten Geburtstage des* Prof. Dr. H. Graetz. Wrocław 1887.

nia i opisów doznawanych przez nich prześladowania i gwałtów [2]).'

„Barbaria” średniowieczna służyć dziś może za argument jedynie czytelnikom „Naszego Przeglądu” czy „Wiadomości Literackich” z okazji zajść w Przytyku, Mińsku Mazowieckim lub palestyńskiej rewolty Arabów. Stosowanie jej na terenie naukowym należy już do najbardziej rażących anachronizmów. Zdają sobie z tego sprawę nawet oficjalni historycy francuscy. Utraciwszy możność oparcia o swe dziewiętnastowieczne zdobycze, ratują się oni roztoczeniem dokoła istotnych zagadnień żydowskich ścisłego *conspiration du silence*. [3]) Ale wierzyć trzeba, że bliskim jest już dzień, gdy z katedry uczelni, fundowanej przed wiekami przez opata de la Sorbonne, nowy „historyk poważny” narodu francuskiego, mówiąc o czynnikach, które się na przesławną rolę dziejową tego ostatniego złożyły, mocno podkreśli i uwydatni istotne znaczenie rozwiązania zagadnienia żydowskiego już w roku pańskim 1394. I wyjaśni także w jakim stopniu na dzisiejszy upadek wpłynęło zbyt gruntowne a lekkomyślne odstąpienie od nauk z wspaniałej przeszłości płynących. Wypełni się wtedy niewątpliwie i luka, tak dotkliwie odczuwana przez badaczy zagadnienia żydowskiego — powstanie wszechstronna i źródłowa historia francuskiego judaizmu [4]).

Nim to się stanie, już i obecnie ustalić można na podstawie dotychczasowych materiałów dwa niezbite fakty historyczne:

I. W żadnem ze średniowiecznych państw chrześcijańskich nie osiągnęło żydostwo tak wielkiego i wspaniałego rozwoju kulturalnego i materialnego, jak właśnie we Francji.

II. W żadnym też kraju nie zostało ono następnie tak bezwzględnie i dokładnie zlikwidowane oraz pozbawione jakiegokolwiek udziału i wpływu na życie i rozwój narodu rdzennego.

Analizując zaś bliżej i mając ustawicznie na uwadze te dwa fakty, nie trudno ustalić będzie jaki wpływ i znaczenie miały one na wielowiekowe realizowanie *Gesta Dei per Francos*. Ustalenie takie najlepszą będzie zarazem odpowiedzią na pytanie — Dlaczego wygnano żydów z Francji?

Pierwsze próby osiedlenia się żydów w Galii sięgają czasów bardzo zamierzchłych [5]). Najprawdopodobniej przybyli oni tam w ślad za zwycięskiemi wojskami swego wielkiego protektora Juljusza Cezara, choć nie jest wykluczone, że już przedtem istniały żydowskie faktorie handlowe przy ujściach większych rzek. W okresie świetności i największego rozwoju Galii rzymskiej t. j. za czasów Trajana i Antoninów istnieją liczne, dobrze prosperujące gminy żydowskie w portach śródziemno-morskich a przedewszystkiem w miastach rozsianych wzdłuż wielkiego szlaku handlowego,

---

[2]) Takie ujęcie historii żydów reprezentował przedewszystkiem prof. dr. Henryk (Hersz) Grätz, za nim poszli autorzy nie żydowscy. Tak n. p. Lavisse w swej wielotomowej popularnej *Histoire de France illustrée depuis les origines jusqu'a la Revolution*, rozróżnia okres Merowingów w którym: „*L'esprit de persecution brutale ne s'est developpé que plus tard dans toute sa force*”. II^1 237, i okres Karolingów gdy: „*Les Juifs ne sont pas encore poursuivis avec cette rigueur fanatique et cupide, dont ils seront victimes pendant la seconde partie du Moyen Age*”. II 339. by później, jak wynika z indeksu (t. IX str. 157) jako godne uwagi podkreślić jeno: „— (*édit d'expulsion*: 1180 III^1 85, —) *exploités par Jean sans Terre* (III^1 160; —) *par Philippe - Auguste* (III^4 240; —) *massacrés par les croisés*: 1096 (II^2 233; —) *poursuivis à Paris et à Rouen*: 1381 — 1382 (IV^1 242 — 247; —) *spoliation de* 1306 (III^2 221 — 228).

[3]) Np. Charles Seignobos w *Histoire sincère de la Nation francaise. Essay d'une histoire de l'évolution du peuple francais*. Paryż 1934. Por. też opracowany przez Józefa Calmette Członka Instytutu, prof. Uniwer. w Tuluzie t. IV zbioru „*Manuels d'Histoire destinés à l'enseignement supérieur — Clio — Introduction aux études historiques*” zat. „*Le Monde Feodal*”, gdzie żydzi wymienieni są raz tylko (str. 194) z racji wzmianki o kościelnym zakazie lichwy. Autor ujmuje w następujące 7 wierszy wszystko, co ma do powiedzenia o żydach w „świecie feodalnym”: „*Les Juifs, que l' opinion de l'Eglise ne genait pas, en eurent* (mowa o lichwie, przyp. nasz) *par tolérance des autorités, quasiment le, monopole. Il n' en n' est pas moins populaire, et l'on peut dire, semble-t il, sans paradoxe, que c'est l'horreur irraisonnée de l'opinion médiévale pour le loyer de l'argent qui a créé à la fois la vocation économique du juif et l'antisémitisme*. „W tomie nast. (V) „*Elaboration du monde moderne*” tenże autor poświęca żydom aż całą (296 — 8) stronę. Przytoczymy z niej kwiatek nast.: „*Conversions forcées des Juifs, massacres ou expulsions des Juifs, ce sont assurément des gestes fréquemmement enregistrés dans les annales du moyen âge. La répétition des ces accés d'antisémitisme souffit à nous en garantir sa parfaite inefficacité. Il y a toujours des juifs, puisqu'on les traque périodiquement et qu'on les persécute*”.

Następnie Szanowny Profesor powtarza bajeczkę o zamknięciu przez chrześcijan żydów w ghetto. Szereg poważnych i głębokich prac z innych dziedzin ratuje prof. Calmette od zarzutu złej woli, ale nie tłumaczy go z tak rażącej nieznajomości przedmiotu, o którym pisze. *Collection Clio* przeznaczona jest do użytku francuskiej młodzieży uniwersyteckiej, jej oficjalny niejako charakter podkreśla poprzedzająca każdy tom przedmowa Członka Instytutu i rektora Paryskiego Uniwersytetu S. Charléty.

[4]) Nie można za takie uważać przestarzałych, choć nieraz bardzo jeszcze cennych nast. prac: 1) *Etat des Juifs en France, en Espagne et en Italie, depuis le commencement du cinquième siécle de l' Ere vulgaire jusque' à la fin du seizième sous le divers rapports du droit civil, du commerce et de la littérature par le Chevalier BAIL*. Paryż 1823. 2) *Les Juifs d'Occident, ou Recherches sur l' Etat civil, le commerce' et la littérature des juifs en France, en Espagne et en Italie pendant la durée du Moyen Age par Arthur Beugnot*. Paryż 1834. 3) *Les Juifs dans le Moyen Age essai historique sur leur état civil. commercial et littéraire par G. B. Depping Paris MDCCCXXXIV imprimé par autorisation du roi à l' imprimerie royale*. 4) *Etude historique sur la condition des juifs dans l' Ancien Droit Francais, Thèse pour le doctorat. Rennes 1897 par. X. Gasnos*. 5) *Des Juifs en France, de leur état moral et politique depuis les premiers temps de la monarcbie jusqu'à nos jours par M. Théophile Hallez*. Paryż 1845. (5) *Joseph de Lataulade: Les Juifs sous l' Ancien Regime - Leur Émmancipation. Thèse Bordeaux* 1906.

[5]) Poza wymienionemi ad 1) i ad 2) praca nin. opiera się głównie na nast. źródłach: 1) *Sozial — und Wirtschaftsgeschichte der Juden im Mittelalter und der Neuzeit von Georg Caro* Lipsk T. I. *Das frühere und das höhe Mittelalter* 1908 r. T. II *Das spätere Mittelalter* 1920 r. 2) *Dr. Alfons Dopsch Die Wirtschaftsentwicklung der Karolingenzeit Weimar I Teil 1912, II Teil 1913. Simon Dubnow Weltgeschichte des jüdischen Volkes*, Berlin 1925. 4) E. J. — *Encyclopaedia Judaica* Berlin od 1928 r. 5) *Graetz — Histoire des Juifs traduit de l' allemand par M, Vogue et M. Bloch avec une préface de M. Zadoc Kahn, Grand Rabin de France*, Paryż 1882 — 1897. 6) *Die wirtschaftliche Tätigkeit der Juden im fränkischen und deutscher Reich bis zum 2 Kreuzug. Inaugural — Dissertation zur Erlangung der Philosop. Doktorwürde vorgelegt der Hohen Philosophischen Facultät der Albert — Ludwigs — Universität zu Freiburg in Breisgau von Bruno Hahn aus Rauge*. 1911 r. 7) *Jean Juster Les Juifs dans l' Empire Romain. Leur condition juridique, économique et sociale* Paryż 1814. 8) *E. Levasseur Histoire du commerce de la France, 1 partie, Avant 1789*, Paryż 1811. 9) *Rene Masson L' usure au Moyen Age. Thése. Paris 1923*. 10) *Dr. Franz Schaub Der Kampf gegen den Zinswucher, ungerechten Preis und unlaubten Handel im Mittelalter von Karl der Grosse bis Papst Alexander III*. Rozpr. habil. Wydz. Teolog. Uniwersytetu w Monachium 1905 r. 11) *Gustave Schnürer Prof. à l'Univers. de Fribourg. L' Eglise et la Civilisation au Moyen Age* T. I - II Paryż 1933. 12) *Anfänge des Kapitalisimus bei den abendländischen Juden im früheren Mittelalter, von Ignaz Schipper, Zeitschrift für Volkswirtschaft, Socialpolitik und Verwaltung Band XV*. 13) *Etudes sur le régime financier de la France avant la Révolution de 1789 par M. Ad. Vuitry, Nouvelle serie T. I et II* Paryż 1883.

wiodącego z Marsylji przcz Lugdun, Vesuntio (Besancon) do Augusta Raucarorum (Bazylei) i dalej Renem ku dzisiejszej Belgii. Oparte do roku 70 po Chr. na prawach perygrynów lub na lokalnych miejskich statutach, uzyskują następnie szereg przywilejów, zapewniających im wewnętrzną autonomię i swobodę w wykonywaniu praktyk religijnych. Dzieje się to w myśl zasad ogólnych rzymskiej polityki, która zniszczywszy ogniem i mieczem państwo Izraela i topiąc w potokach krwi wszelką próbę odzyskania politycznej niezawisłości, zapewniała jednocześnie żydom prawną oraz faktyczną możność organizowania się i egzystencji w diasporze. *Constitutio Antoniniana de civitate* nada im w roku 212 po nar. Chr. pełne prawa rzymskich obywateli, a stan ten potwierdzi później Kodeks Teodozjusza.[6]) Oczywiście będą to obywatele szczególnego rodzaju, gdyż jak zaznacza sumienny badacz stosunków żydowskich w czasach rzymskich Jan Juster „kult żydowski nie mógł istnieć bez przywilejów"[7]), zwalniających jego wyznawców z szeregu obowiązków obywatelskich, nie dających się pogodzić z przepisami o których już Tacyt twierdził, że wręcz są przeciwne tym, które wyznaje reszta śmiertelnych.[8]) To uprzywilejowane „równouprawnienie" miało dla żydów szczególne znaczenie w okresie inwazyj germańskich i w pierwszych wiekach po upadku Imperium. Przy istniejącym wówczas systemie praw personalnych, odpowiedź na sakramentalne pytanie sędziego: „Pod jakim żyjesz prawem?" nie przedstawiała dla żyda żadnej trudności. Broniło go i regulowało jego stosunki ze światem zewnętrznym — prawo rzymskie. Triumf Chrystianizmu, w następstwach swych tak dla niego groźny, nie dał mu się dłuższy czas odczuć na terenie stosunków prawno-prywatnych. Pierwsze rozporządzenia rzymskich cesarzy chrześcijańskich miały za zadanie powstrzymać jedynie zbyt gwałtowne objawy nienawiści żydów względem tych, którzy porzucali judaizm, przyjmując wiarę katolicką[9]). Uchwały zaś synodów frankońskich z okresu V-VIII wieku, będące jasnym dowodem wysiłków Kościoła, zmierzającego do odseparowania wiernych od zgubnego kontaktu z żydami, niewielki miały wpływ w momencie, gdy walić się zdawał cały świat i gdy jedna po drugiej zawodziły próby ratunku. Więcej, w politycznym i moralnym, prawnym i gospodarczym chaosie ówczesnych czasów byli żydzi jedynemi na korzyść i dobro których ów chaos powszechny pracował. Wypadki dreszczem śmiertelnej grozy przejmujące serca i umysły nie trwożyły jeno dzieci Izraela:

„Wydaje się prawdopodobnym — pisze historyk żydowski — że towarzyszyli oni radosnym sercem najazdowi barbarzyńców i upadkowi Romy — niegdyś pani świata, i że byli zadowoleni, mogąc stosować do tego miasta lamentacje proroka nad Jeruzalem: „Królowa narodów, księżniczka między prowincjami stała się poddaną!" [10]).

To ostrożne „prawdopodobnym" spokojnie rozumieć można jako „niewątpliwym". Upadek Rzymu wywoływał radość w sercach Izraela nietylko ze względu na przytoczone literackiej natury analogie z bolesnemi wspomnieniami z własnej przeszłości. Owa *Schadenfreude* miała za podłoże względy raczej materialne przy jednoczesnym niewątpliwym rozbudzeniu zawsze żywych nadziei mesjańskich. Oczywiście, że i na żydowskiej skórze odbijały się niejednokrotnie i to w sposób bardzo dotkliwy nieszczęścia owych czasów, znaczonych rozpasaniem wszelkich namiętności ludzkich, rzadko i słabo hamowanych moralnymi lub prawnymi wedzidłami. Cierpiał na tem zarówno „obywatel rzymski mojżeszowego wyznania" jak i „nieprzyjaciel wiary świętej". Ale były to, nigdy nie dające się uniknąć w momentach wielkich przewrotów, „koszty handlowe". Bilans ogólny zamykał się niezwykle dodatnim saldem potężnego rozrostu znaczenia i wpływów żydowskich na gruzach Imperium, zwłaszcza zaś na pięknej i żyznej ziemi dawnych Gallów.

W zwartym i sprawnie funkcjonującym państwie rzymskim wpływy te dość już były zaznaczone, trudno jednak mówić o jakiejś wyraźnej supremacji żydów w tej czy innej dziedzinie. Stan taki zmieniał się radykalnie w okresie rozstroju i rozprzężenia. Wyraźniej mocniej i dźwięczniej poczynała wtedy zaznaczać się na tle ogólnej dysharmonii solidarna nuta żydowskiej jednolitości. Złączeni wspólną wiarą, językiem, obyczajami, a przedewszystkim celem, odcinali się od „ginącego" wokół świata, starając się wydobyć zeń maximum własnych korzyści. Galia, doborem i bogactwem swych produktów rolnych, leśnych, kopalnianych i przemysłowych zaspakajająca w znacznej mierze potrzeby gospodarcze wielkiego Imperium, leżała w gruzach nękana walkami i najazdami. Nie było już czego wozić po wspaniałych drogach wiodących do zrujnowanej i opustoszałej dawnej stolicy, ni spławiać rzekami ku portom. Nie umiał jeszcze „parać się" handlem germański najeźdźca, zapominał o nim autochton do innych przywykły warunków. Nowe — nowych wymagały zdolności. Wypadki, których terenem stawała się Galia faworyzowały dwie jeno dziedziny handlu w rozmiarach nieznanych za czasów „*Pax Romana*":

I. Handel niewolnikami — II. Handel przedmiotami zbytku.

Te dwie dziedziny stały się w okresie między V a X wiekiem wyłącznym niemal monopolem żydowskim. Na nich wyrosła i ukształtowała się potęga francuskiego judaizmu, a nędza powszechna i kontrastujący z nią zbytek możnych wnet dorzucił źródło III — Lichwę.

Te trzy czynniki, dostatecznie w ogólnych swych zarysach wydobyte na światło dzienne przez znawców przedmiotu, wymagają każdy krótkiego omówienia.

(c. d. n.) ANDRZEJ SZUMOWSKI

---

[6]) „...*Judaei Romani et communi iure viventes*". *Cod. Teod. L. II tit. I, § 10.*

[7]) „*Le culte juif ne pouvait pas subsister sans privilèges*". *Juster op. c. I, 245.*

[8]) „*Mozes quo sibi in posterum gentem firmaret, novos ritus contrariosque coetaris mortalibus indidit*". *Tacitus Hist. L. V cap. IV princip.*

[9]) *Lataulade op. c* 2. Tak np. Konstantyn zabronił żydom pod karą śmierci na stosie kamienować swych współwyznawców przyjmujących chrystjanizm por. *Ferdinand Lot La fin du monde antique et le début du Moyen Age* str. 38.

[10]) *Graetz op. c. III 264.*

OSMOZA JĘZYKOWA

SWEGO CZASU zabierałem na łamach „Myśli Narodowej” głos przeciw przesadnemu puryzmowi językowemu. Dziś zabieram go w obronie czystości języka. Sądzę, że wcale niema między temi dwoma wystąpieniami sprzeczności. Byłoby źle, gdyby polszczyznę, jak złamaną rękę czy nogę, ujęto w deszczułki i skrępowano jej rozwój, jakgdyby była to mowa martwa. Lecz ta świadomość nie może i nie powinna oznaczać względności dla chwastów. Na chwasty — jak mówi poeta — należy puszczać kosy. Jak przedtem, tak i teraz, powoduję się jedynie umiłowaniem języka ojczystego i poczuciem, że to jeden z najdroższych skarbów narodowych i jeden z najistotniejszych czynników bytu narodowego. Rozumieliśmy to w czasach niewoli i strzegliśmy go czujnie, nie pozwalając, aby do naszego złota domieszano lichszych kruszców, czy zgoła żużli. Za dużo byłoby może widzieć w tem jedną z pierwszorzędnych przyczyn odzyskania niepodległości, ale trzeba powiedzieć, że był to jeden z warunków. Dziś, gdy nad czystością polszczyzny czuwają polskie instytucje państwowe, rzecz powinnaby przedstawiać się lepiej, niż za czasów niewoli. Jest niestety inaczej. Etatyzm zawodzi na tem polu, jak i na innych, a inicjatywa prywatna — osłabła.

Może jednak główne źródło zła kryje się gdzieindziej. Energia społeczeństwa znajduje ujścia, których nie było dawniej. Myśli się przedewszystkiem nad tem, co się pisze, a nie staje już czasu, aby myśleć, jak się pisze. Wzrosło czytelnictwo, wytworzyła się supremacja gazety nad książką, wychodzi ogromna ilość pism — a każdy numer pisma musi być przecież gotów na pewien określony termin. Nie lekceważąc tego wszystkiego, sądzę jednak, że najwięcej zależy od okoliczności, kto pisze. Piszący działa nie tylko bezpośrednio, ale i pośrednio. Zwłaszcza ludzie młodzi, pozbawieni głębszego wykształcenia filologicznego, są niezmiernie podatni na wpływy. Barbarzyński zwrot czy wyraz niemile działa na ucho za pierwszym razem, za piątym razem jest się z nim oswojonym, za dziesiątym zaczyna go się używać samemu.

Któraś z osób w „Świętej Joannie” Bernarda Shaw’a skarży się, że krzyżowiec wraca z Ziemi św. w połowie saracenem. Jest to głęboka prawda, ukazująca nam swe oblicze raz w tej, raz w innej dziedzinie życia. Polacy z PPS. tak długo walczyli z Rosją, aż sami doskonale nauczyli się metod rosyjskich. Prasa obozu narodowego od długich lat pozostaje w walce z sanacją. I tu coraz wyraźniej postępuje wciąż proces, który można określić jako osmozę językową. Uwagi dzisiejsze zamierzam poświęcić objawom skażenia języka i stylu prasy narodowej pod wpływem prasy sanacyjnej i wogóle enuncjacyj sanacyjnych — gdyż wchodzą tu w grę także przemówienia różnego rodzaju, odezwy, komunikaty i t. p.

Pamiętajmy, że ośrodek grupy, którą dziś określa się popularnie jako sanację, tworzyli i po części do dziś dnia tworzą ludzie z krajów zabranych, gdzie żyło się zdala od centrów nauki polskiej, chodziło do szkół niepolskich i ulegało wpływowi języka rosyjskiego. Stąd rusycyzmy w rodzaju agentury, która niestety wszędzie zdobyła obywatelstwo. Była ona pożyczką zupełnie zbyteczną, ponieważ mieliśmy wyraz „agencja” czy „ajencja”, nadto musi razić każdego zgrubsza obeznanego z koniugacją łacińską. „Prokuratura” powstała z prawidłowego *participium futuri activi* od *procuro,* ale od *ago* mogłaby pochodzić chyba *aktura...*

Dalej rekrutowała się sanacja z ludzi, którzy przeszli przez wojsko i kładli na to nacisk. Nawet zaś ci, co wojska nie oglądali, starali się chociażby stylem wywołać wrażenie, że tak było. Stąd obfitość wyrażeń, zapożyczonych z taktyki czy z placu ćwiczeń. Niektóre są przenośniami, dobrze rzecz oddającemi. Można tu zaliczyć „stawanie na baczność”, „pracę w terenie”. Już gorzej brzmi, „baza”, ale jest przynajmniej krótsza od „podstawy operacyjnej”, więc mogłaby ostatecznie zostać. Bazować na czemś jednak to ohydny barbaryzm.

W parze z prowenjencją wojskową lub z fikcją tej prowenjencji szło pozowanie na żołnierską zwięzłość i energię. Podobno zryw pochodzi ze słownictwa automobilowego, ale używa go się zwykle tam, gdzie zupełnie wystarczyłby tradycyjny „poryw”.

Rzecz skomplikowała się przez żydów. Pewna ich ilość należała już do pierwotnej grupy, ale nowy, liczniejszy zastęp skupił się po r. 1926 pod zwycięskim sztandarem. Tu idzie o najmitów prasowych. Żyd wynajmuje się bowiem do tej pracy, bardzo odpowiadającej jego psychice, bez względu na własne *credo.* Przecież czołowy publicysta syjonistyczny poza swymi występami oficjalnymi nie bardzo tai się z przekonaniami komunistycznemi. Jeżeli więc przekonania nie dyktują żadnych skrupułów wobec swoich, tem mniej nie dyktują ich wobec obcych. Cóż dziwnego, że zaroiło się u nas od państwowotwórczych dziennikarzy tej rasy? A trzeba pamiętać o charakterystycznych skutkach *spersis.* Jeżeli pominiemy nieliczne wyjątki, ustalimy regułę, że Żyd zawsze szybko uczy się języka i nigdy nie osiąga w nim pełnej poprawności. Będzie mówił i pisał z łatwością, mimo to będą składnie i zwroty, których poprawnego brzmienia nie będzie pewny, i wyrażenia, które wprost pozostaną dla niego niezrozumiałe. Słowa mają dla niego wartość absolutną, nie zdaje sobie sprawy, że to jedynie liczmany, symbolizujące myśl. Stąd jego metafory uderzają często nietrafnością. Znany dziennikarz, kryjący zresztą swe żydowskie nazwisko pod rdzennie polskim pseudonimem popełnił niedawno następujący tytuł artykułu: „Synchronizacja zasad brytyjskiej i polskiej polityki”. „Synchronizację” zapożyczył z techniki filmu dźwiękowego, oznacza ona uzgodnienie co do czasu obrazów ekranu z mową, Możnaby synchronizować wystąpienia, taktykę, rozwój czegoś, ale jak synchronizuje się zasady, to już tajemnica owego publicysty — chyba, że szłoby o to, aby w każdej chwili mieć takie zasady, które najlepiej popłacają.

Przedstawiony tu stan rzeczy stał się źródłem rażących błędów językowych, które zasługują na miano judaizmów. Te stosunkowo dość rzadko

przedostają się na łamy prasy narodowej, a przecie spotkałem się raz w niej ze zwrotem „popisywał się z czemś". Przy takiej ohydzie blednie *accusativus tromtadraticus* zwrotów „trzeba sztukę zakazać" lub „dostarczyć coś", blednie też żywcem z niemieckiego wzięte oddawanie strzałów (których się nigdy nie pożyczyło). Do subtelniejszych kwiatków tej niwy, wyhodowanych pierwotnie przez żydowskich krytyków literackich zaliczyłbym sławne podejście (nie „fortel", lecz „zbliżenie się do przedmiotu").

Z głębokich trosk sanacji o rzecz najtrudniejszą, o jaką się kusiła, o pozyskanie młodego pokolenia, zrodził się przymiotnik młodzieżowy (front, akcja i t. p.), ale zaprawdę trudno mi o jego wymyślenie podejrzewać rdzennego polaka. A przecie nie tylko można go dziś spotkać w pismach narodowych, ale też na jego wzór ukuł ktoś akcję odżydzeniową, dziwoląg, w którym treść głośno kłóci się z formą — bo jak może cośkolwiek odżydzić ten, kto zażydza ojczysty język?

Żydzi szczycą się zawsze postępowością, rzecz naturalna, że i w zakresie mowy ideałem ich jest „ostatni krzyk" (ach, kiedyż usłyszymy dosłownie ostatni?). Z ich to ducha począł się istny szał neologizmów. Dziś tworzy się je mimo istnienia starych wyrazów o stuprocentowem znaczeniu, potrzebnem w danym wypadku — n. p. prawdopodobność zamiast „prawdopodobieństwo". Natomiast rozszerzył się jakiś wstręt do wyrazów prostych, które ludzie chętnie zastępują podobnymi — o odmiennem znaczeniu. Każdy wie, co to „zarządzenia zdrowotne" i „opieka zdrowotna", ale nie może być okolicy zdrowotnej jeno „zdrowa".

Nie wystarczają zwroty, będące w użyciu od wieków. *Warum einfach, wenn-auch kompliziert möglich ist?* Staroświeckie „dzięki" wydaje się zbyt proste i spotykamy takie niegramatyczne, słoniowate zdanie, jak „Zawdzięczając ofiarności publicznej, instytucja rozwinęła się pięknie".

Przyczyną błędów bywa brak klasycznego wykształcenia (dziś zresztą niemodnego). Podałem już powyżej jeden przykład łaciński i jeden grecki, dorzucę drugi grecki, autarchję zamiast „autarkii", terminu ekonomicznego, oznaczającego „samowystarczalność" (od *arkeo* — „autarchia" znaczyłaby chyba tyle, co „autonomia" czyli „samorząd").

Mniejszym stosunkowo nieszczęściem są prowincjonalizmy w formach gramatycznych, wystarczy ukrzyżować tu jeden, bo za często się powtarza — czasy przeszłe typu posieli, wyleli zamiast „posiali", „wylali".

Językoznawcy umieją nieraz z materiału słownikowego odczytywać kulturę i psychikę. Mam wrażenie, że dużo im kiedyś powie niedociągnięcie w znaczeniu „przewinienia" lub „nadużycia". Ten eufemizm rozpowszechniła klika, chcąca osłabić wrażenie różnych, niepachnących wypadeczków. Ale dla czego mają przyjmować go ci, którzy od długich lat nie mają nawet sposobności do żadnych „niedociągnięć"?

Najobfitszą rubrykę stanowią jednak dziwadła, wynikłe z lenistwa myśli, które nie pozwala dojrzeć treści poza wyrazami, i z nieuwagi. Do pierwszej kategorji należą takie frazesy, jak zwrócono się z propozycją (niewiadomo, do kogo), zwrócono się z prośbą (podobnież), to jest na poziomie (na jakim?), do drugiej n. p. stanąć u steru władzy (właśnie władzę określa się przenośnie jako ster). Kto tak pisze, dowodzi, że nie wykonał pracy myślowej, która powinna być podstawą każdego wyrażenia obrazowego, bo bez niej obraz nie może odpowiadać pojęciom.

Dla uniknięcia nieporozumień stwierdzam, że wszystkie potępione tu wyrazy i zwroty — z wyjątkiem jednej „synchronizacji zasad" — pochodzą z publicystyki narodowej. Wynotowałem je sobie dorywczo w ciągu paru miesięcy i ogłaszam bez żadnej złośliwości, najlepszy dowód, że nie podaję tu ani jednego nazwiska, ani jednego tytułu pisma. Nie urządzam żadnych egzekucyj, idzie mi jedynie o czystość mowy polskiej. Linia podziału pomiędzy polakami a żydami, także żydami występującymi w maskach, rysuje się coraz ostrzej. Sądzę, że język powinien być jednym ze sprawdzianów — takim samym, jak nos lub uszy. Dlatego piszmy tak, aby poprawność, czystość i jędrność języka pozwalały na pierwszy rzut oka odróżnić polaka od żyda.

WŁADYSŁAW TARNAWSKI

W najbliższych zeszytach „Myśli Narodowej" ukaże się cykl artykułów ROMANA DMOWSKIEGO p. t. „Człowiek przeciw społeczeństwu".

O ile druk zaczęty będzie przed upływem bieżącego kwartału, nowym od 1-go kwietnia prenumeratorom prześlemy odpowiednie zeszyty bezpłatnie.

Do zeszytu obecnego dołączamy przekazy na P. K. O. konto „MYŚL NARODOWA" nr. 3105 a to w celu ułatwienia Szan. Czytelnikom wpłaty należności na kwartał II-gi, który się zbliża. Wydawnictwo uprasza zalegających w opłacie prenumeraty o uregulowanie rachunku.

Na żądanie wysyłamy bezpłatnie numery okazowe.

NA WIDOWNI

„Renesans heraldyzmu". — Rzekoma sprzeczność między nim a katolicyzmem. — Równorzędność tych zjawisk. — Ich konflikt w duszy człowieka. — Właściwe granice i właściwe rozumienie tego sporu.

W ostatnim zeszycie „Marchołta" p. Karol Ludwik Koniński zamieścił bardzo ciekawy i piękny artykuł p. t. „Renesans heraldyzmu". Nie jest to wprawdzie polemika ze mną, ale że dużo tam jednak o mnie, a sama rzecz tyczy tego, czego pewnego rodzaju obrońcą się stałem, więc zajmę się tem w obecnej widowni. Zajmę i dlatego, że nie są to moje osobiste spóry i poglądy, ale kwestie bardzo ważne dla narodowego światopoglądu i dla myślowego uzasadnienia pewnych tendencyj dnia dzisiejszego. Rad więc jestem, że p. Koniński swojem wystąpieniem dał mi raz jeszcze okazję do poruszenia tych pasjonujących mnie spraw.

Mówię raz jeszcze, bo to co pisałem po aferze z panią Simpson, w tej samej nawet rubryce (nr. 52 z. r.) jest poniekąd częściowem wyjaśnieniem tej kwestii, co do której właśnie najzupełniej się z p. Konińskim nie zgadzam,—a mianowicie kwestii rzekomej sprzeczności między katolickim poglądem na świat, a tem co dla uproszczenia nazwijmy sobie właśnie heraldyzmem. Pisze bowiem p. Koniński, że „jeśli chce się myśleć porządnie, to trzeba w tej dziedzinie coś wybrać: Albo wiarę w niespodziewane i swobodne wiewy Ducha, a wtedy z obojętnością patrzeć na „krew"; albo patrzeć na krew jako na sok przeznaczenia; ale wtedy przyjąć tezę o bezwarunkowej determinacji teraźniejszości przez przeszłość".

Otóż ani jedno, ani drugie i choćby mnie odsądzić miano od rzetelności myślenia, nie dopatrzę się między temi dwoma stanowiskami niczego sprzecznego, i to właśnie dlatego, że jestem katolikiem. Katolicyzm jest bowiem tą cudowną religią paradoksu, która pozwala zawsze uniknąć doktrynalnego dylematu: jeśli to, to nie tamto. A równocześnie przecież katolicyzm stawia jednak bardzo mocno swoje albo albo i przemawia bardzo kategorycznym językiem, bo „niechaj mowa wasza będzie: Jest, jest. Nie, nie" (Mat. V, 37).

Cechą główną katolicyzmu jest więc to, że godzi on sprzeczności, że więc potrafi sobą objąć całe tak niesłychanie zagmatwane i tak w swoich drobiazgach trudne życie. We wszystkich nierozwiązalnych, zdawałoby się, teoretycznie sporach— wskazuje on na cudowną drogę, nie kompromisu broń Boże!—ale istotnej prawdy, łączącej w sobie oba sprzeczne na pozór stanowiska.

To podejście ogólne, — a teraz w kwestii o której mowa niewątpliwem jest równoczesne obok siebie istnienie pewnej determinacji krwi i wolnych wiewów ducha. I myśląc po katolicku trzeba sobie właśnie powiedzieć jest i to i tamto, czyli spojrzeniem objąć całą rzeczywistość, a nietylko jedną jej stronę.

Niewątpliwą jest bowiem rzeczą, że mimo naszej wolnej woli nie rodzimy się całkowicie wolni, nie mamy władzy nad całością własnego ja. Nie możemy przecież nigdy zmienić właśnie tego co jest w nas przeszłością, a co tak potężnie oddziaływa na nasze życie. Jeśli się urodziłem w tej a tej rodzinie, w tej a tej warstwie to to z góry określa do pewnego stopnia moją osobowość i wytycza jej pewne szranki. Że zaś za najpewniejszą drogę do zbawienia należy uważać rozwój swojej osobowości, — wykorzystywanie pełne tego wszystkiego co nam dał Pan Bóg, więc heraldyzm jeśli jest tylko drogą do dokładniejszego poznania siebie, do wzbogacenia swojej jaźni jest najzupełniej katolicki. I nie może być, bo nie ma żadnego konfliktu między wiarą a tradycją i ryzykowne wydaje mi się twierdzenie, że zbiorowości „im więcej mają wiary, tem właściwie mniej potrzebne im tradycje".

To jedna strona zagadnienia, a druga to owe wiewy ducha. Istnieją one niezależnie od determinacji krwi i są drugim czynnikiem oddziaływującym na nasze życie. To właśnie nasza wolna wola o nieograniczonych teoretycznie możliwościach, ale jeszcze raz przypomnę: „kto z was obmyślając może przydać do wzrostu swego łokieć jeden?" (Mat. VI, 27).

Teraz zrobię pewne ustępstwo p. Konińskiemu—między temi dwoma rzeczami jest konflikt, jest bardzo bolesny konflikt, który sami w swoich duszach odczuwamy, ale to wcale nie jest teoretyczne albo, albo. Oba zjawiska istnieją obok siebie i w nas walczą, — i naszem zadaniem jest tu, znowu nie żadne albo—albo, ale pogodzenie obu tych rzeczy. Drogi do tego pogodzenia rozmaite, ale wszystkie dobre i dlatego jeśli p. Koniński pisze, że błogosławiona Salomea została świętą, bo wypuściła z rąk swą koronę, to odpowiem, że mogła być równie dobrze świętą, gdyby sobie ją jeszcze mocniej na głowę wsadziła, można bowiem duchem przekroczyć narzucone przez przeszłość szranki, ale można też pozostać w tych ramach i do nich swojego ducha przystosować, dźwignąć swoją rzeczywistość do ducha.

Wogóle wydaje mi się, że w artykule p. Konińskiego dużo jest bardzo nieporozumień, wynikających z owej zasadniczej nieumiejętności patrzenia na rzeczy tak jak są, a nie tak jak one w rygorystycznej rozprawce filozoficznej by wyglądały. Jakżeż można bowiem mówić, że wizje nieśmiertelności narodowej i nieśmiertelności duszy „są sobie raczej przeciwne". One wcale nie są sobie przeciwne, byle zastosować hierarchię, gdzie pierwszą jest nieśmiertelność ludzkiej duszy. Wszystko to się wyjaśni, gdy stanąć na stanowisku, że nie człowiek jest dla narodu ale naród dla człowieka, ale że człowiek zbawienie swe zdobywa tylko służąc narodowi. Czy to są sprzeczności? Bynajmniej, to życie właśnie bogate i złożone.

Zresztą jeśli to nawet sprzeczności, to całe nasze życie nie polega właściwie na niczem innem, jak na ich ciągłem godzeniu. Na tem polega trud życiowy i przez to rozrasta się nasza dusza. Każde albo albo, jakie przed nią staje, każde pytanie męczące i dręczące — to tylko szczeble do doskonałości. Uchylić się od odpowiedzi nie można, w sobie, w swojem sercu trzeba ją zawsze znaleźć i tu schodzą się nasze sprzeczności, z ich starcia wynika odpowiedź.

Do przejęcia się więc „heraldyzmem" wcale nie jest potrzebny „naturalizm poglądu na świat", ale prowadzić do niego może prosta chęć zrozumienia swej duszy, swego ja i swego życia. Zrozu-

mienie, by tem głębiej iść drogą ducha. I zagłębienie się w genealogiach wcale nie musi prowadzić do pychy czy narcyzmu; nie pozbawia też mnie mych cech osobistych i nie gubi w szeregu antenatów mojego własnego ja. Ja jestem ja i mam swoją własną duszę, swoje własne zdanie; coś wziąłem po przodkach, ale nie wszystko, mam ich zresztą bardzo różnorodnych. I gdyby chcieć tu coś rygorystycznie determinować, to wyszłoby w moim wypadku np. równocześnie, że piszę tak, bo jeden z moich naddziadów był „benefaktor na nasze kościoły", jak wspominali jezuici, więc że mnie krew tu pchnęła, a z drugiej strony, że właśnie nic innego jak wolny, bardzo wolny wiew ducha, bo znacznie liczniejsi z moich przodków nie byli katolikami, a nawet cierpieć za swoją luterską, kalwińską czy ariańską wiarę potrafili.

Nie trzeba więc szukać sprzeczności tam gdzie ich niema, gdzie one są tylko w obrębie naszych dusz, naszych wewnętrznych zmagań. Takie sprzeczności są zbawcze, bo przy odpowiednim, rzetelnym wysiłku przestają istnieć; od tego duch, by je usuwał.

KAROL STEFAN FRYCZ

GŁOSY

W ODNOWIONYM OBOZIE

PRZED KILKU dniami w organie obozu pomajowego, w bardzo prorządowym „Kurierze Wileńskim" czytaliśmy niezmiernie charakterystyczną relację o sytuacji politycznej w Polsce. Uderzyły nas takie zwroty:

„Rydz Śmigły nie mówi o walce z narodem, Rydz Śmigły mówi o zjednoczeniu narodowem. Dokoła ma ludzi, którzy go do walki z narodem pchają. Robi się mu nawet zarzuty: czemu nie działa, czemu nie widać u niego tendencyj do skręcania śruby, do wtłaczania narodu, w ciasne ramy mechanicznego przymusu. Wciąż przypisuje się mu te tendencje, takie nadzieje wiąże się z akcją płk. Koca. Ale w rzeczywistości nie widzimy w nim tych tendencyj. Marszałek Rydz Śmigły nie chce walczyć z narodem. Szuka języka porozumienia, szuka form współpracy. I to jest przyczyną tego zaufania, jakim Marszałek Rydz Śmigły w Polsce się cieszy".

Każdy chyba przyzna, że poziom kultury politycznej musi być bardzo nizki w obozie, którego publicysta może bez zastanowienia pisać o „walce z narodem" Polaka. Dziwnie tam wyobrażają sobie stosunek państwa do narodu. Takie opinje, sam sposób ich wypowiadania kompromitują Polskę w oczach świata cywilizowanego. A jednak one charakteryzowały dotąd ludzi z obozu „sanacyjnego".

Bodaj więc dobrze się stało, że w d. 21 bm. jeden z czołowych ludzi tego obozu, p. Adam Koc, wygłosił przez radio deklarację, najwidoczniej autoryzowaną przez czynniki w państwie miarodajne, — w której to deklaracji doprowadza do porządku elementarne pojęcia o roli narodu w państwie.

Można było dojść do tego znacznie wcześniej, niepotrzebne były eksperymenty wręcz sprzeczne z temi zapatrywaniami, robione przez długie lat 10.

W deklaracji p. Koca niema nic nowego, uznać ją jednak musimy za postęp w stosunku do tego, co jeszcze przed tygodniem pisał przytoczony wyżej dziennik. Po tej deklaracji może już nikt w tym obozie nie będzie „pchał" nikogo „do walki z narodem".

Deklaracja p. Koca obraca się wszakże w sferze „zapatrywań"; życie zaś oczekuje od inicjatorów nie zapatrywań, które można ładnie ułożyć według podręczników, lecz idei. Idea jedynie ma siłę motoryczną, jako wyraz wiary i dobrej woli.

Pułkownik Koc mówił nie tylko od siebie, używał zaimka „My". Znamy tę zbiorowość. Pozostaje ona po dawnemu na swem uprzywilejowanem stanowisku, zamierza ona teraz kooptować ludzi do swych dążeń dawnych na podstawie nowych „zapatrywań". Byli przecież w tej grupie ludzie, którym one nigdy nie były obce, a przecież postępowali inaczej. Przed wiekami już zdawano sobie sprawę z psychologii ludzkiej: „*video meliora proboque — deteriora sequor*".

Do ostatniej chwili ludzie, autoryzujący ową deklarację, postępowali inaczej; jakie są dane, że od 21 lutego zmienią dążenia według tych zmeliorowanych zapatrywań? Jeżeli zaś chodzi o zastępy tych, co akces zgłoszą, to sądzimy, że układanie dla nich światopoglądu było zbędne; przynętą dla nich były nie ideowej natury widoki.

Z deklaracji nie widać, jak twórcy rządowego obozu przedstawiają sobie współpracę z narodem. Mylny bowiem byłby pogląd, że ta współpraca z narodem może być zamknięta w ramach obozu. Obóz będzie tylko jednem ze stronnictw. Emulacja o wpływ moralny na naród pozostanie po dawnemu otwarta. Tajemnicę tego wpływu posiadają dawne stronnictwa, które z narodem na zasadach współpracy ideowej oddawna obcowały. Nowy obóz, jak oznajmia deklaracja, z tymi „antykwarjuszami" nie chce mieć nic wspólnego, aczkolwiek od tych antykwariuszy bierze gotową platformę narodu, przedtem nie uznawaną. Ta wyłączność partyjna, zaakcentowana na końcu, nie harmonizuje z założeniem. Na początku p. Koc zapowiedział, że w jego programie „wszystko się znajdzie — znajdzie się droga, która nas doprowadzi do w y z w o l e n i a sił moralnych i twórczych w narodzie, d o s k u p i e n i a ich"... Była też mowa o „duchowej „ciągłości" życia narodu, trwającej stulecia. Kończy się zaś hasłem nowicjatu, szukania „nowych wartości" wbrew temu, co dawniejsi dla organizacji narodu zrobili.

Największa stąd trudność dla nowych ludzi, że nie zdają sobie dostatecznie sprawy, że naród historyczny nie może być rzeczą nową, na nowo wynalezioną, że on ma też swoje zasady dziedziczne współpracy ze swojem państwem. Nie wystarczy nie „pchać" do walki z nim, trzeba korzystać z jego antycznego zmysłu współpracy państwowej.

HOENE-WROŃSKI I KABAŁA

MIESIĘCZNIK młodych katolików „*Pro Christo*" (nr. 1 2 z r. 1937) zamieścił ciekawą rozprawę B. Stańskiego p. t. „To ma być zbawca Polski?" Autor udowadnia, że teoria Wrońskiego nie jest zgodna z nauką Kościoła Rzymskiego. Redakcja jako motyw zamieszczenia tej pracy, przytacza konieczność przeciwdziałania propagandzie nauki Wrońskiego przez specjalnie jej poświęcone czasopismo „Zet". Z artykułu rzeczonego wyjmujemy urywek, traktujący o zwią-

zku doktryny Wrońskiego z kabałą, magią i okultyzmem masońskim. Czytamy tam:

1. Geneza „Sechelianizmu" Wrońskiego.

„Istota błędu Wrońskiego polega na tem, że pojęcie „*Sechel*", na którem oparł on całą swoją doktrynę, zaczerpnął on z kabały żydowskiej. Istnieje tekst kabalistyczny w języku hebrajskim rabina Abrahama, mistrza Mikołaja Flamela, tekst, który znajduje się w okultystycznym komentarzu do świętej księgi kabały żydowskiej „*Sepher Jezirah*". Czytamy tam, że „Um Absolutny" („*Sechel temidi*"), kieruje słońcem, księżycem i wszystkiemi gwiazdami i planetami, przez które daje byt wszelkim stworzeniom. Dosłownie tekst ten w języku hebrajskim przytacza słynny w swoim czasie mag i okultysta francuski Eliphas Lévi w swej pracy „*Dogme et Rituel de la haute magie*".

Inny głośny okultysta, autor licznych dzieł o magii, Papus w książce swej „*L'occultisme et le spiritualisme*" pisze o tym związku dawnej kabały żydowskisj z doktryną Wrońskiego, Eliphasa Lévi i innych okultystów w ten sposób: „Z Wrońskim i Eliphasem Lewi oraz z Ludwikiem Lucas (uczniem Wrońskiego) związani są wszyscy prawie okultyści współcześni" (str. 127).

Ponadto Papus w innem swojem dziele, które jest uważane za encyklopedię okultyzmu p. t. „*Traité methodique de science occulte*" szereg stronic poświęca Wrońskiemu. Wreszcie w książce swej „*Magie pratique*" Papus przytacza na 25 stronicach wyjątki z „Apodyktyki" Wrońskiego, poświęcone okultyzmowi i magii i dochodzi do następującego wniosku: „W niektórych szczegółach poglądy Wrońskiego różnią się od naszych, ale te różnice są zbyt małe, abyśmy do nich mieli przywiązywać większe, niż potrzeba znaczenie" (str. 38).

Wspomniany wyżej Eliphas Lévi, uważany za wyrocznię wśród nowoczesnych okultystów, w dziele p, t, „*Histoire de la Magie*" zalicza Wrońskiego do magów, opowiadając na str. 476—479) o kompromitującej Wrońskiego t. z. „sprzedaży absolutu kapitaliście Arsonowi". Eliphas Lévi bardzo surową ocenę wydaje o Wrońskim, pisząc w ten sposób: „Wroński doprowaeził do ruiny różnych głupców *(des imbéciles)*, obiecując im absolut. Ale ten sprzedany tak drogo przez Wrońskiego absolut my odkryliśmy po nim i podajemy do wiadomości naszych czytelników za darmo, gdyż prawda jest własnością wszystkich i nikt nie ma prawa przywłaszczać jej sobie, czyniąc z niej przedmiot handlu" (str. 479).

A na innem miejscu Eliphas Lévi jeszcze raz stwierdza związek doktryny Wrońskiego z Kabałą, podkreślając, że Wroński „odnalezione przez siebie tajemnice Kabały sprzedał za 150 tysięcy franków głupcowi Arsonowi" (str. 477).

2. Związek doktryny Wrońskiego z okultyzmem masońskim również w świetle dokumentów występuje jaskrawo. A więc:

1) Miesięcznik masoński „*La lumière maçonique*" w zeszycie za grudzień 1912 r. w artykule Ernesta Britt na udowodnienie swych tez powołuje się na doktrynę Wrońskiego temi słowy: „Pragnąc zadośćuczynić życzeniom masonerii, która zaleca swym adeptom, aby stali się myślicielami, spróbowaliśmy tu streścić te refleksje, jakie nasunęło nam porównanie „Troistości Symbolicznej", którą podaje masońska „Księga Ucznia" z prawem tworzenia filozofa i matematyka słowiańskiego „Hoene-Wrońskiego, którego doktrynę ze szczególną starannością przestudiowaliśmy".

To samo podobieństwo doktryny Wrońskiego do koncepcji okultyzmu masońskiego zostało przedstawione w innym miesięczniku masońskim „*L'Acacia*" *(Revue mensuelle d'etudes maçonniques)*".

Dalej — „Rytuał związku Martynistów *(„Rituel de l'Ordre Martiniste")* wydany w r. 1913 w Paryżu (skład główny 19, boulevard Haussmann) poleca lożom masońskim na str. 164 szereg dzieł klasycznych *(gros ouvrages classiques)* zawierających podstawy doktryny masońskiej, a wśród nich i dzieła Wrońskiego.

Wreszcie miesięcznik okultystyczny, wydawany przez koła masonerii francuskiej „*Le voile d'Isis*" w numerze za styczeń 1913 r. zawiera artykuł p. t. „*Le Secret de Wroński*", w którym autor dowodzi, że Wroński zdobył wtajemniczenie w arkana okultyzmu, ale że istoty tego wtajemniczenia w swych dziełach nie odsłonił, ale jak sam twierdzi, „zachował tę wzniosłą wiedzę dla siebie samego, aby ją zabrać z sobą do grobu".

Zwraca uwagę na ten fakt i polski filozof Karol Libelt, który przestudiował całą trylogię mesjaniczną Wrońskiego więc oprócz „*Prodrome*" i „*Metapolitique*" także „*Prolégomenes du messianisme*". Pisze on o Wrońskim w swem dziele „Samowładztwo rozumu i obiawy filozofii słowiańskiej" (str. 164—169), że istota absolutu „*essence intime de l'absolu*" pozostaje u Wrońskiego zakryta. Ale właśnie w tem zakryciu ukazał sam (Wroński) piętę Achillesową całego systemu, który wody daje, a źródło, z którego płyną ukrywa". Bez znajomości bowiem istoty absolutu „prawa najwyższe będą tylko zgadywaniem..." (Por. również piszącego o tem prof. Józefa Ujejskiego w jego pracy: „O cenę absolutu".)

NAUKA i LITERATURA

WYDAWNICTWA INSTYTUTU ŚLĄSKIEGO

ZACHODNIE ziemie nasze wykazały dużą inicjatywę w zorganizowaniu badań naukowych w różnych dziedzinach życia. Bałtycki Instytut w Toruniu wydał sporo już znakomitych prac poświęconych Pomorzu. Instytut Śląski, mieszczący się w Katowicach, uruchomił sekcję „Biblioteki pisarzy śląskich", serię: Śląsk, ziemia i ludzie, serię polskiego Śląska, dalej serię zagadnień gospodarczych Śląska, nadto ukazuje się monograficznie opracowywany wielotomowy pamiętnik Instytutu śląskiego i tegoż Instytutu komunikaty na prawach rękopisu. Razem 62 tomy wydane, w druku i przygotowaniu (bez komunikatów). Piękny dorobek. Szczęść Boże tej pracy. A prawda, Instytut śląski wydaje jeszcze kwartalnik regionalny „Zaranie Śląskie". Piękne czasopismo, doskonale redagowane, zawsze mające sporo interesującego materiału.

Niedawno w serii „Biblioteka Pisarzy Polskich" ukazało się czwarte wydanie, krytycznie opracowane przez W. Ogrodzińskiego, poematu ks. Norberta Bończyka „Stary Kościół Miechowski" (Katowice 1936, str. 266).

Jest to religijno-chłopska epopea na tle górnośląskiem z okresu „wiosny ludów". Utwór ciekawy tematycznie, literacko, regionalnie. Niestety wcale nieznany wśród wykształconego ogółu polskiego, a bardzo mało wśród sfer literackich. Dość powiedzieć, że nie wspomina o nim bodaj żadna historia literatury polskiej. A przecie już w r. 1879 Kra-

szewski napisał wszechstronną ocenę „Kościoła Miechowskiego“ i drukował swą recenzję w warszawskiej „Biesiadzie literackiej“.

Jakże aktualne jest, co czytamy u ks. Bończyka:

...... że ni preceptory
Tak nie dręczą ubogich, ani też doktory,
Jak nas zwierzchność dręczyła, szczególnie dopóki
Nie nastał czas wolności. Ileż z tej epoki
Mógłbym naliczyć faktów wielmożnych wybryków!

Pod koniec ubiegłego roku P. A. L. odbyła w Katowicach posiedzenie uroczyste, poświęcone ks. Bończykowi. Godzi się więc przypomnieć, że w „Starym Kościele Miechowskim“ jest mowa o takich, co to

... księży nienawidzą i gardzą kościołem,
A oświaty szukają za żydowskim stołem—
A że zginą!

Warto przeczytać poemat ks. Bończyka!

Jako 24 tomik w serii „Polski Śląsk“ ukazała się rozprawka Bolesława Olszewicza p. t. „Najdawniejsze opisy geograficzne Śląska“ (Katowice 1936, skład główny „Nasza Księgarnia“, Warszawa, str. 65). Autor kreśli obraz Śląska według Długosza, daje nam opis Śląska z roku 1493, stwierdzając, że ten najdawniejszy opis ziemi śląskiej napisany jest przez Ślązaka. Dalej p. Olszewicz przytacza poetyckie opisy Śląska z początku XVI w. oraz zajmuje się obszerniej Geografią Śląska, Bartłomieja Steina, co się uczył i nauczał w Krakowskiej Wszechnicy, wreszcie autor rozprawy podaje nam późniejsze opisy Śląska aż do Kromerowego włącznie.

Przypisy i wyciągi z owych starych opisów Śląska uzupełniają pożyteczną i pracowicie napisaną a pełną erudycji rozprawę p. Olszewicza.

W. T.

ZAKLĘTE REWIRY

KOMUŻ ze stałych bywalców restauracyj i kawiarni lub innej jakiejś knajpy przyszłoby do głowy spojrzeć na usługującego kelnera jako na aktora odgrywającego główną rolę na zawartej między stolikami scence. A przecież w samej naturze kelnerskiego zawodu jest coś z brawury artysty, a nawet, kto wie, czy nie pogromcy... p. t. publiki. Tak właśnie we wspomnieniu rzecz ujął p. Henryk Worcell (pseudonim), jak słychać we wczesnej młodości pikolo, z kolei, w dalszej karierze kelner restauracyjny [1]).

Swoje przeżycia w jednej z pryncypalnych restauracyj hotelowych w Krakowie (podobno) uczynił tematem dwuch cyklów jakby reportaży, składających się na jedyny w swoim rodzaju, utwór powieściowy.

Budzi on zrozumiałą sensację nietylko ze względu na odsłonięcie tajemnic, jakie stwarza wyjątkowa wyłączność zawodu, nietylko dla galerii postaci ze współczesnego „towarzystwa“ krakowskiego, mimochodem, a przecież aż nazbyt wiernie, sportretowanego, ale w pierwszym rzędzie przez oryginalność koncepcji, wspólną nicią łączącej luźne napozór epizody reportażu.

Nie to jest bowiem ważne dla jednolitości kompozycji, że oparta została na biograficznej zasadzie, decydują o niej raczej czynniki irracjonalnej natury. One to dopiero, czary jakoweś czy moce, wiążą nierozerwalnie bohatera z terenem pracy, przepajając jakimś subtelnym fluidem „jasne“ i „ciemne“ rewiry, coś z tej nieuchwytnej woni dając i kartom książki.

Z wyznań autora jasno wynika, że przeciętny zjadacz (czy wyjadacz) restauracyjnych smakołyków wprost nie jest w stanie wyobrazić sobie tremy, jaką często odczuwa (t. zw. „tabakę“) wytrawny nawet kelner przed i w czasie „występu“, a co sprawia, że niejednakowo daje sobie radę z uległym raz, kiedyindziej niesfornym, stającym dęba „rewirem“ sali.

Można, z całą pewnością, powołując się na analogiczne przykłady, np. niedyspoczyji u dyrygenta orkiestry na koncercie, racjonalizować powyższe zjawisko i tłumaczyć je poprostu zmiennością neurastenicznych nastrojów, przypływem i odpływem energii w zależności od różnych czynników: ustrojowych i zewnętrznych. Bardziej jednak pójdziemy na rękę autorowi, gdy poczniemy wraz z nim szukać przyczyny nieobliczalności — sceny jednocześnie i widowni, na której losy kazały być kelnerowi aktorem.

Dla zgodności całej konstrukcji wypadnie teraz jeszcze uwierzyć, że kelner, artysta w swoim zawodzie, jest także *sui generis* twórcą—jak jest nim np. „artysta na bacie“, mistrz tresury końskiej w cyrku.

W bogatej w treść, jak każdy niesfałszowany dokument życia, książce Worcella znajdujemy sporo frapujących rysów obyczajowych i charakterystycznych dla środowiska postaci.

Wspaniały jest zwłaszcza, choć tylko w przelocie ukazywany, Niemiec Pancer, gospodarz hotelu „Pacyfik“, w pewnych momentach zresztą starego Mincla z „Lalki“ na myśl przywodzący.

Wśród kelnerów wyróżnia się żyd Maks, szpiegujący swoich kolegów i donoszący na nich potem przed zarządem firmy, istota, która pała nienawiścią do wszystkich wokoło, bez wyraźniejszej przyczyny.

Nie uniknęła ostrza satyry i arystokracja (konserwa) ukazana w kilku co przedniejszych okazach zwyrodnialców, deprawujących pikolaków restauracyjnych i *boy*'ów hotelowych.

Debiut pisarski wypadł znakomicie. Chciejmy wierzyć, że wraz z wyczerpaniem autopsyjnego materiału literackiego, nie wyczerpie się zapas weny narratorskiej, i co ważniejsza... talentu.

ST. J.

[1]) Henryk Worcell. „Zaklęte rewiry“. Nakład Gebethnera i Wolffa. Warszawa 1936.

RUCH WYDAWNICZY

W literaturze politycznej naszego czasu wybitne miejsce zajmie książka Karola Stojanowskiego docenta Uniw. poznańskiego p. t. „Chłop a państwo narodowe“. Drobna rozmiarami (str. 80) dużą ma wagę. Należy do szeregu tych drogocennych zdobyczy myśli polskiej, która od lat 50 wnosi twórcze pierwiastki do samowiedzy narodu. Książka Stojanowskiego jest najnowszym przyczynkiem do „Myśli nowoczesnego Polaka“, w której Dmowski przed laty 35 zapoczątkował studia nad systemem polskiej myśli politycznej. Wziął z niej jeden moment, ale centralny — zagadnienie ludu, jako siły politycznej i z tego punktu nadzwyczaj bystremi uogólnieniami prześwietlił organiczną całość polskiej rzeczywistości w dobie obecnej. Świetny, olśniewający syntezami i oryginalnością poglądów zbiór artykułów Stojanowskiego znaleźć się powinien w ręku każdego Polaka, pragnącego coś wiedzieć o Polsce i coś dla niej robić.

Książka nosi na sobie firmę „Wydawnictwa Narodowego“ w Poznaniu (Św. Marcina 65).

*

Nakładem Akademii Umiejętności wydane zostały świeżo „Listy Seweryna Goszczyńskiego“. Zebrał je i do druku przygotował prof. Stanisław Pigoń. Listy pochodzą z lat 1823 do 1875. (Kraków 1937. Str. VII i 542). Tom ten wyszedł w zbiorze „Archiwum do dziejów literatury i oświaty w Polsce“ (XIX).

Zebranie tak kompletne listów Goszczyńskiego jest zasługą niestrudzonego prof. Pigonia. Niedawno ogłosił w naszem piśmie i wydał osobno tom listów Norwida, jednocześnie wydał w Akademii trzy wielkie tomy pamiętników T. T. Jeża.

A przecież ledwo co wyszło kilka tomów pism Mickiewicza, opracowanych przez niego — i to bodaj najtrudniejszych do opracowania.

Prof. Pigoń zdołał zebrać 362 listy Goszczyńskiego. Wszystkie przedtem ogłoszone porównał z autografami, wszystkie opatrzył ścisłemi objaśnieniami, a na końcu dodał skorowidz nazwisk.

Jeżeli się zważy, że prof. Pigoń wydał przedtem pamiętniki tego poety: „Podróż mojego życia" (1924) i w czasopismach ogłosił szereg studiów nad nieznanemi utworami jego i nad bibliografią, to się pokaże, że prof. Pigoń jest dziś najlepszym znawcą Goszczyńskiego i najzasłużeńszym jego edytorem.

*

Józef Jeremski. „Ludzie z parteru". Powieść. Warszawa 1936. „Płomień". Str. 262.

Książka ciekawa ze względu na nieruszany prawie dotychczas temat: obraz robotniczej Łodzi z lat osiemdziesiątych, z czasów, gdy dopiero zaczęła się naprawdę kształtować w tym największym w Polsce fabrycznym ośrodku psychika współczesnego proletariusza miejskiego.

W owym okresie bowiem, rozrostu przemysłu włókienniczego, całe gromady zubożałych przez nieuchronny podział ziemi i usamodzielnionych od dworu małorolnych i „komorników" wiejskich wędrowały po zarobek i chleb do miast, wnosząc ze sobą do fabryk i mieszkań robotniczych świeży zasób sił oraz prosty obyczaj, obydwa właściwe ludziom, co nie zdążyli jeszcze zapomnieć zapachu pól na wiosnę i bliskości kościoła z rodzinną wioską. Ówczesna dzielnica robotnicza, przedmieście Chojny, samą nazwą świadczyła o polnych jeszcze czy leśnych granicach i miedzach ówczesnej Łodzi.

I dziś, podobnie jak wtedy, wieś odczuwa nadmiar ludności, gotowej wyemigrować w poszukiwaniu pracy do miast: do straganów i warsztatów. Będzie to, siłą faktu w najbliższych latach, nietylko ułatwienie dziedziczenia zagród włościańskich najstarszym synom rodów, nietylko spolszczenie, uszlachetnienie miejskich ośrodków życia, ale i zapobieżenie ich automatycznej w czasie, spowodowanej zastojem, brakiem ruchów migracyjnych, degeneracji.

We wzmiankowanej powieści, na tle tak więc mało jeszcze skomplikowanem, rysuje się prosta linia życia niedawnego rolnika, teraz już fabrycznego tkacza, Walentego Koji, którego jedynem dążeniem jest poprzez oszczędzanie dojść do własnego sklepu, zdobyć wyższy szczebel w hierarchii społecznej.

Bardziej uspołecznionym ukaże nam autor jego syna, Janka, gdy ten oczywiście dorośnie. Ale to już będą czasy najnowsze, pomruki zbliżającej się burzy rewolucji socjalnej, strajki i strzelaniny, krwawe walki terrorystów z łamistrajkami, mordowanie działaczy narodowych, pracujących dla niepodległości Polski, przez marksistów, służących obcym interesom...

Owóż, Janek należy do, nienazwanego tutaj wyraźnie, obozu niepodległości, — jego przyjaciel, wybitny działacz w sferach robotniczych, zostaje zastrzelony przez socjalistów.

Cóż, kiedy oblicze utworu zaciemnia owa niewyraźność ideowa głównych postaci i przedstawianych ugrupowań.

W pewnym stopniu ratuje sytuację zdecydowane wystąpienie autora po stronie Janka, który, jako jeden z twórców lokalnej spółdzielni robotniczej, stacza zaciętą, zwycięską walkę z własnym ojcem, zaprzedającym się, dla zrealizowania marzeń o własnym sklepie, w służbę kapitału żydowskiego, konkurującego, jak wiadomo, oddawna z polskim ruchem spółdzielczym.

Notabene, ten może jedynie epizod po przez swoją, choć niewyzyskaną w pełni, dramatyczność wewnętrzną ożywia i urozmaica wątłą nieco i anemiczną akcję.

Gmatwa ideowy rysunek powieści, myląc co do istotnych intencyj p. Jeremskiego, wypad w stronę plebanii.

Poziom artystyczny utworu, chwilami jakby dla ludu pisanego, a frapującego wyłącznie prawie przez obfity, zawarty w nim materiał historyczno-obyczajowy, niewysoki.

(ST. J.

*

Paweł Grodecki, inż. „Sokolstwo" warszawskie w czasie wielkiej wojny, wspomnienia osobiste. Warszawa.

Autor książki „Wspomnienia byłych studentów Politechniki z lat 1898—1905", jeden z pierwszych twórców i uczestników „Sokoła" w Warszawie w r. 1905, spisał bardziej znamienne daty i zdarzenia z życia tego patriotycznego związku. W ciągu minionych lat trzydziestu „Sokół" warszawski przechodził różne koleje losu, zawsze jednak pozostawał wierny idei pracy dla niepodległości i mocy państwa, z uwzględnieniem w pierwszym rzędzie tężyzny fizycznej swych druhów. Wojna, zakazy policyjne ujawniania uczuć narodowych, pobór do wojska rosyjskiego i w czasie ewakuacji Warszawy przez władze, wysiedlenia „skompromitowanych" politycznie, utrudniały i wstrzymywały żywotność „Sokoła".

Działalność zwraca się w kierunku skrytych przed władzami rosyjskiemi a następnie niemieckiemi, poczynań. „Sokół" udziałem w piątym Wszechpolskim Zlocie Sokolstwa w Krakowie, nawiązał łączność z „Sokołem" w Małopolsce i w drodze korespondencji z „Sokołem w Ameryce. Opiekował się rannymi, którzy do Warszawy byli przewożeni z frontu wojsk walczących. Nie łudził się panslawizmem ani obietnicami niemieckiemi, ufając tylko we własne siły narodu, i w tym celu w latach 1916 i 1917 zorganizował Szkołę wojskową w „Sokole".

Autor, na tle opisu znanych wypadków politycznych, notuje szereg ciekawych szczegółów z życia Związku. A to, naprzykład, organizacji własnych, bez patronatu Niemców, dwuch kompanii wojska. W sokolej Szkole wojskowej wykładano szereg przedmiotów, regulamin, naukę o broni, terenoznawstwo i in.

P. Grodecki opowiada o tem treściwie i zajmujaco Szkoda, że tylko w formie broszury. Można sobie życzyć, żeby omówione materiały z czasem szerzej rozwinął. (A. W.)

FILM

ATLANTIC: „Wielka miłość Beethovena", reż. Abel Gance, film francuski.

Zrobiono tu wiele, aby oddać potęgę i tragizm tej wielkiej duszy. Kilkakrotnie spływa na nas tchnienie wielkości i przybliżamy się do zrozumienia geniuszu. Zawdzięczamy te najsilniejsze w swojej wymowie sceny reżyserii, jej pomysłom, znakomitej grze, trafnie wybranego do tej roli aktora, H. Baur'a i świetnym „zbliżeniom", a ściślej mówiąc wspaniałej, w zdjęciach zbliżonych, masce odtwórcy Beethovena. Gdy cały ekran wypełnia wyolbrzymiona, potężna twarz tragika, Baur'a, jest w niej moc, jak w muzyce Beethovena. Wszystko się skupia wokół jego postaci i reżyser, zajęty jej portetowaniem, zaniedbał nieco tło i drugie plany. Są one pod względem plastyczno-filmowym przeciętne, a jeśli chodzi o obsadę ról kobiecych mdłe i nieciekawe.

Ale wszystkie te niedostatki, jak również niejednolita kompozycja całości, nie są w stanie osłabić wrażenia, jakie nam daje suma najtęższych scen z H. Baur'em, tembardziej, iż wspiera je muzyka Beethovena.

Z pomysłów reżyserskich przytoczymy jeden z najlepszych: gdy głuchnący Beethoven idzie w pole i pochyla nad wodą twarz zastygłą w bezmiarze rozpaczy, woda faluje i faluje na niej odbicie twarzy, wzruszeniem, którego w niej samej nie widzimy.

Tytuł filmu głupi.

PAN: „Ogród Allacha", reż. Bolesławski, film amerykański.

Reżyser tego filmu, Bolesławski, był Polakiem. Umarł niedawno, nagle, w pełni sił. Ceniono go w Hollyvood. Robił tam t. zw. karierę. W każdym razie był jednym z niewielu Polaków, którzy w filmie mieli coś do powiedzenia. Powierzenie jego opiece aktorów tej miary, co Charles Boyer i Marlena Dietrich, świadczy, że wytwórnie amerykańskie zdawały sobie sprawę z jego wartości.

„Ogród Allacha", osnuty na tle popularnej powieści, daje reżyserowi okazję do wypróbowania swego talentu w wielu kierunkach. A więc są tu i sceny „dyszące" — jak to się mówi — „zmysłowym żarem południa", jest i miłość dwojga kochanków w pustyni, zachody słońca i księżycowe noce. Nie trzeba tylko wierzyć, że to afrykańskie tło jest z prawdziwego zdarzenia, a spędzimy 2 godziny w kinie zupełnie przyjemnie, oglądając ten utwór, zręcznie zrobiony, w wydaniu, przeznaczonem dla szerszych mas.

Zupełnie piękny, głęboki sens ma zakończenie. Zakonnik-trapista, który uciekł z klasztoru, wraca tam, choć to oznacza rozłąkę nazawsze z ukochaną kobietą. Wraca, choć nikt go nie zmusza — tak postanowili oboje. I to jest najpiękniejsze, że nikt tego w filmie nie kwestionuje. Łamać ślubów zakonnych nie wolno, oczywistość tej prawdy nie podlega dyskusji. Jakże daleko tu jesteśmy od banalnych zakończeń dawnych filmów amerykańskich, w których bohater, uśmiercony, nie dawał jednak za wygrane i kończył obraz pocałunkiem z ukochaną.

Majstersztykiem reżyserskim jest scena w kawiarence afrykańskiej, o dobrze oddanej dusznej, zmysłowej atmosferze i przytem nie bez pewnej ironii w rysunku.

Marlena Dietrich — jak to zwykle ona. Na tle tego przyczajonego spokoju, tembardziej wyraziście zarysował się wybuch rozpaczy w ostatniej scenie pożegnania.

KANDYD

DYSKUSJE

TROCHĘ O ZEGADŁOWICZU

PISZĘ te słowa ogarnięty uczuciem litości. Bo żeby ktoś tak nagle zmienił pogląd na świat, zdecydował się na używanie najłatwiejszych bo najbardziej prymitywnych środków wyrazu, zadarł z opinią, by w rezultacie ściągnąć na siebie uwagę jedynie przez miesiąc, powiedzmy łaskawie — dwa, to aż żal człowieka bierze najserdeczniejszy. Myślał, że do końca życia będą nań palcem wskazywali, bal—że jego skandal urośnie do rozmiarów historycznej awantury na miarę, powiedzmy, takiej pra-premiery Baumarchais'go „Wesele Figara". A tymczasem... było, przeszło, niema. Jest tylko zalatująca grafomanią, jak zwykle u niego, powieść drukowana w „Dzienniku Popularnym". Ale to przecież co innego. O „Zmorach" już nikt. Zupełnie. „Zmory"? — „Mój panie a wie pan, że królowa Bona umarła?"

Tedy lituję się, odświeżam dni krzyku powszechnego i oburzenia a cichej radości autora skonfiskowanej książki. Niechże się były powsinoga beskidzki nieco nacieszy. Niech wie, że nie wszyscy już przeszli do porządku dziennego. Dodaję zresztą, iż na wdzięczności, którą sobie w tej chwili zaskarbiam, wcale mi nie zależy. Ani trochę.

Dlaczego jednak teraz o „Zmorach" i dlaczego teraz o Zegadłowiczu? Dlatego że przeczytałem właśnie Mauriac'a „*La robe prétexte*", powieść—zdziwicie się wszyscy—bliźniaczą tamtej.

(Nawiasem dodam, iż poirytowało mnie mocno kiepskie tłumaczenie, a szczególnie owa dowolność w przerabianiu tytułu dla celów interesu wydawcy. „Kamilka"—a dlaczego nie Bérenice, ta dziewczyna, z którą w dniu święta narodowego bohater powieści pił „najlepszą lemoniadę na tym świecie", albo dla czego nie „młoda dziewczyna" o ciemnych włosach" Liette de Monceau, przyjaciółka Filipa Ducasse'a?—wszystkie one przecież były tem samem — niezapomnianemi epizodami, zapowiedzią kobiety).

Powieść bliźniacza. Tak jak „Zmory" bowiem „*La robe prétexte*" ukazuje chłopca w okresie przepoczwarzania się w mężczyznę: Temat niezwykle trudny, ale rzeczywiście pociągający artystę przez swą naprawdę wyrafinowaną subtelność. Poczuł ów smak psycholog wnikliwy i artysta najprawdziwszy Mauriac. Tylko, że okrył go wstydliwie, łagodnie przesłonił. Nie oparł się jednak pokusie. Będzie to oczywistą przesadą, co powiem za chwilę, ale odniosłem wrażenie, że ukazując w całej swej twórczości człowieka w wielkości i skali jego doczesnej walki, tu sam stanął na krawędzi grzechu przez poddanie się atmosferze przesyconej już z samej natury tematem. A jednak—mało czytałem opowieści podobnie subtelnych, prawdziwych, czystych.

Teraz powsinoga (były).—Jaki prymitywny w przeprowadzeniu swojej koncepcji, jaki przykro prostacki! Książka Zegadłowicza gorszy? A czy gorszy nas zachowanie podpitego towarzystwa o manierach drobnomieszczańskich? Niepodoba nam się tylko. Książka Zegadłowicza oburza? Mnie maniery drobnomieszczańskie przez swą tandetę nie są w stanie oburzyć. Nie podobają mi się jedynie, jak powiedziałem i to bardzo. Może najbardziej ze wszystkich. Takie to przecież niechlujne, tanie, nijakie, pretensjonalne, jednem słowem (wytartem mocno i nadużywanem, tu jednak istotnem)—kołtuńskie. Dlatego też zachłystywanie się „Zmorami" jest w gruncie rzeczy niczem innem, jak tylko apoteozą atmosfery tego gatunku, z jaką rewolucja, do której Zegadłowicz dla odmiany (jednej z licznych i zapewne nie ostatniej...) przystał, bije przedewszystkiem.

I gdzie konsekwencja?

Jedni podnieśli krzyk, że właśnie w „Zmorach" postęp, że wolność sumienia, że porzucenie pęt rygoryzmu... itp., itp.. och!—jakie to wszystko nudne... Straszliwie nudne. i stare. Poprostu—strach powiedzieć—reakcja. W dodatku czarna reakcja. Nie czerwony bowiem kolor, ale czarny jest symbolem anarchii.

Inni znowu uznali książkę za wcielonego diabła i z krzykiem „świętego oburzenia" poczęli na sobie rozdzierać szaty. Zupełnie niepotrzebnie. Ci drudzy to (tak... tak...) moi ideowi towarzysze. Oni co chwila i przy lada okazji zaraz za te szaty, a nadmiar „świętego oburzenia" gotów ich kiedy przyprawić o kanonizację. (Luźna uwaga na marginesie).

„Zmory" i „*La robe prétexte*". Bliźniacze powieści. Jakie inne! Jakie odmienne! Ile poezji u Mauriaca!.. I w uczuciu do Kamilki i do Bérenice i do Lietty de Monceau. I w postaci Józia Ximenesa i księdza katechety o pięknych wypielęgnowanych palcach, gdyż dotykał nimi boskiego Ciała Chrystusa. I w atmosferze domu. I w nastroju Święta narodowego. I w opowieści o zmarłej w żalu za mężem matce i w opowieści o ojcu co to ukochał słońce i kolor ponad wszystko. Tak mi się jego postać kojarzy z Gaughinem i tak mi z gaughinowskich płócien przywodzi na myśl przedewszystkiem „*Sa Orana Maria*". A wszystko to właśnie „*La robe prétexte*".

Bliźniak Zegadłowicza jest natomiast brzydki. Tak brzydki, jak pocztówki „w wachlarz" na ścianie, czy bambusowy stoliczek z włóczkowemi pomponikami. A chełpi się swoją brzydotą, a kryguje się przed zesnobowanemi burżujami! Jest przed kim? aż taki upadek? Smutne.

Często powracam do kapitalnej przedmowy Teofila Gautiera, którą opatrzył sto lat temu swą „*Mademoiselle de Maupin*". Dostało bo się w niej hipokryzji! I najzupełniej słusznie. Wyobrażam sobie jakby dzisiaj Gautier pisał, gdyby widział hipokrytów innego wprawdzie rodzaju, co to jednak nadal pisują „romanse — ścierwo — rodzaj nader przyjemny, obficie spożywany przez modnisie o słabych nernerwach"...

Modnisie o słabych nerwach!

A potem się deklamuje na zjazdach nibyto proletariackich. I wmawia się, że wymienianie kilkunastu terminów na oznaczenie organów płciowych to właśnie postęp. Postęp? Ależ gotów jestem bronić w tej chwili przed zagadnieniem jego ideologii...

Jeszcze Gautier:

„..publiczność szalała za padliną i kostnica podobała się lepiej niż buduar, czytelnik łapał się jedynie ne haczyk opatrzony małym już siniejącym trupkiem. — Rzecz bardzo zrozumiała; przywiąż różę do haczyka, nie złapiesz najdrobniejszej płotki; przyczep robaka albo kawałek sera, karpie, bolenie, okonie, węgorze będą wyskakiwac trzy stopnie nad wodę aby go pochwycić. Ludzie nie są tak bardzo odmienni od ryb, jak świat chce przypuszczać".

Pyszne. Tylko czego tak strasznie dokuczył rybom?

JAN BAJKOWSKI

NOWE KSIĄŻKI

Nakładem Instytutu Śląskiego w Katowicach, 1936 r. ukazały się wydawnictwa.

Musiał Ludwik. Materiały do dziejów wielkich Katowic (1299—1799). Str. 220 oraz ryciny.

Bock Jerzy. Nauka domowa i wyjątki z Agendy Opracował J. Ogrodziński. Str. XLI i 53.

Piotrowicz Karol. Plan rewindykacji Śląska przez Polskę pod koniec Średniowiecza. Str. 59.

Czekanowski Jan. Struktura rasowa Śląska w świetle badań polskich i niemieckich. Str. 34.

POKŁOSIE

ROSYJSKIE METAMORFOZY

Z okazji rocznicy śmierci Puszkina zwrócono już w „Myśli Nar." uwagę na doniosłe zmiany, jakie uwidoczniają się w Rosji sowieckiej. Istotnie, niedawno przecież stawiano nad Wołgą i Uralem pomniki Pugaczewowi, a obecnie oddaje się hołdy autorowi *„Kapitanskoj doczki"* — przeskok nie mały. Obecnie mamy znów do zanotowania kampanię, jaką rozpoczęła publicystyka sowiecka o rehabilitację historii Rosji i jej wybitnych postaci, poczynając od „zbieraczy" ziemi rosyjskiej, książąt moskiewskich, a kończąc na Piotrze Wielkim i jego następcach. Dotychczasowy „proletariacki" stosunek do historii i ocenianie jej zjawisk z punktu widzenia walki klas ma ustąpić na rzecz przedstawienia wysiłków podnoszenia narodu rosyjskiego...

To przebijanie się, wydobywanie na wierzch rosyjskiego instyktu narodowego, ujawniające się tak stosunkowo szybko po bezapelacyjnym zwycięstwie międzynarodówki i wychowaniu przez nią nowego pokolenia, jest rzeczywiście zdumiewające, tembardziej, że przychodzi w trakcie zupełnie, zdawałoby się, spokojnego okresu rozwojowego, bez podniety jakiegoś wstrząsu zewnętrznego, czy wewnętrznego. Trzeba dodać owe „zdawałoby się", gdyż o stosunkach rosyjskich możemy dziś sądzić tylko z wielkimi zastrzeżeniami.

Z tymi zastrzeżeniami duchowymi łączą się logicznie ostatnie procesy polityczne, tępienie starej gwardii rewolucji międzynarodowej, usuwanie z życia politycznego tego zjadliwego fermentu, jaki w kadzi rosyjskiej stanowili, a jeszcze w wielkim stopniu stanowią Żydzi. Co się jednak stanie, gdy ten ferment zostanie całkowicie usunięty?

Usamodzielnienie się narodu rosyjskiego byłoby nowością w historii. Od początku przebywał pod czyjąś kuratelą, najpierw Waregów, a potem w czasach nam już bliższych Niemców i to nie tylko jako dynastów, ale również legiona administratorów, generałów i t. p. Znana anegdota o tym, że gen. Jermołow, zdobywca Kaukazu, prosił, aby go w nagrodę zaawansowano na Niemca, dobrze oddaje panujące stosunki. W ostatnim, bolszewickim przewrocie czynną rolę kierującą objęli Żydzi. Nie tylko przez to, że podstawowa ideologia, marksizm, jest wytworem ich ducha, ale cała praca organizacyjna przewrotu, nie wyłączając wojennej jest ich dziełem. W ciągu niewielu lat przewrócono w tym olbrzymim kraju wszystko do góry nogami, nie zostawiono kamienia na kamieniu z dawnego ustroju. Tej pracy dokonać można było tylko przy fanatyzmie. A oczywiście nie należy też pomijać ich międzynarodowych koneksji i sprytu handlowego, dzięki którym mamy od lat kilkunastu paradoksalne widowisko, w którym materialne i umysłowe środki świata kapitalistycznego oddają się na usługi rewolucji, budują dla społeczeństwa socjalistycznego rozmaite Dnieprostroje i Magnitogorski, nie tylko pomagają czynnie w budowie, ale właściwie ją dopiero umożliwiają.

W rezultacie mamy społeczeństwo wyrwane w ciągu zaledwie lat kilkunastu z ustroju rolnego i przeobrażone na typ przemysłowy tak dokładny i wszechstronny, że nawet rolnictwo jest tam poddane regułom i wymaganiom gospodarki przemysłowej. Bardzo jest wątpliwe, czy naród rosyjski, który wydał typ Obłomowa, mógłby dokonać tego wszystkiego bez owego podniecającego i podcinającego wszystkich i na każdym kroku fermentu. Można nawet postawić pytanie, czy, pozbawiony tego zaczynu, będzie w stanie utrzymać to, co już wzniesiono, czy to wszystko nie rozwali się w gruzy?

Przewrót w Rosji nie wynikł z jakichś przyczyn naturalnych, nie jest konsekwencją warunków przestrzennych, ludnościowych, czy innych. Został narzucony i wykonany przez koncepcję czysto rozumową. Czy takie dzieło może być trwałe? Znaliśmy wszyscy Rosję jako kraj łatwego życia, o bardzo słabem napięciu walki o byt, z ludnością rzadko rozrzuconą na bardzo bogatej ziemi, wskutek tego w pracy dość niedbałą, pozbawioną tych cnót dokładności i sumienności, jakie w innych narodach wyrobiły trudniejsze warunki życia. I oto ten naród w ciągu jednego pokolenia ma się przeobrazić całkowicie, ma z drobiazgową dokładnością wykonywać obowiązki nawet wówczas, gdy odjęto mu podnietę w postaci bezpośredniego zysku osobistego, uważanego za niezbędny przecież nawet w krajach o daleko posuniętym od wieków uspołecznieniu. A jeżeli to zawiedzie, musi nastąpić niebywała katastrofa, bo przecież w tym ustroju wszystko jest daleko silniej zależne od funkcjonowania poszczególnych komórek, niż przy gospodarce indywidualnej.

Metamorfoza rosyjska, uwolnienie się od najazdu ideowego nie pójdzie gładko, można raczej przewidywać tragiczne wstrząsy.

ARGUS

NA MARGINESIE

Pewien poczciwiec, po długim wsłuchiwaniu się na galerii sejmowej w debaty posłów, doszedł do konkluzji, że niemógłby być ministrem.

— Jabym, powiada, tak się przejmował dramatycznemi obrazami, roztaczanemi przez posłów, że nie mógłbym zdobyć się na dowcipne ich bagatelizowanie.

— Ach ty antykwariuszu! — mówi na to przyjaciel — Ty na serio traktujesz parlamentaryzm?

*

— Dla czego pan nie ogłosi swoich poglądów na sprawy publiczne?

— Ani myślę! Sanacja zabrałaby je do swego programu i jeszczeby mi nawymyślała.

*

Pewien polityk trochę zawiany, przechodząc koło braci Jabłkowskich, zdumiał się:

— Biały tydzień! O jej, czyżby i tutaj była konfiskata?

*

Prasa opozycyjna widocznie kapitulowała, bo po mowie płk. Koca wywiesiła na pierwszej kolumnie białe płachty.

*

— Skąd taki dzisiaj ruch na ulicach?

— Ludzie śpieszą złożyć akces.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 8/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM